Cena 1 zł

KATOLICKI
TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok X. Warszawa, 5 września 1954 r. Nr 36 (458)

DZIŚ i JUTRO

Nowa Warszawa: odbudowa dalszej części traktu Starej Warszawy (u góry); widok na Starówkę od strony kolumny Zygmunta (obok).

fot. J. Majkut

JERZY KRZYSZTOŃ

List do przyjaciela

SPROWOKOWAŁEŚ mnie pytaniem — jak wygląda Warszawa? Listy od Ciebie przychodzą rzadko, upstrzone rojem różnobarwnych znaczków, na które zapamiętale poluje mój mały siostrzeniec. Przed trzema laty upatrywał sobie szczególnie żyrafy i słonie, dziś żyłkę łowiecką budzi w nim tłusty kangur przysiadły nad napisem — AUSTRALIA. Jutro? Jutro jest niewiadome. Nie wiem, jakimi drogami potoczą się dalej Twoje losy. Nie, nie mów, że nie miałeś wyboru. Znaliśmy razem, znaliśmy dobrze ten lęk narosły w nas poprzez doznania bolesne, których dziecięcy umysł ocenić nie potrafił, a pamięć przechowała w kształcie najostrzejszym, wykrzywionym. Zaszczepiono nam wspólnie na tej naszej pozywce pamięci tę nienawiść, która podszeptywała właśnie, że nie ma wyboru, że nie może być wyboru. Zaszczepiono nie tylko mnie i nie tylko Tobie, ale setkom naszych młodych kolegów i przyjaciół. Dziś pracują oni w kopalniach w Yorkshire, pocą się za kierownicą ciężarowych wozów na drogach Wschodniej Afryki, kują w skale tunel między Szwajcarią a Włochami, by zarobić na parę miesięcy studiów na uniwersytecie we Fryburgu, murują domy w Londynie, a jeden z nich nawet konstruuje jachty ku rozrywce zamożnych „weekendowiczów". Nie wiem, naprawdę nie wiem, czy choć chwilę myślą oni o tym — jak wygląda Warszawa? To bolesne — taka obojętność. Ludzie pod narkozą, znieczuleni na miłość, czekają nieświadomi na moment aż spodleni chirurdzy wytną im serce. Masz rację, ja też byłem wśród nich, ale jakoś nie dałem się uśpić. A Ty? Ty się budzisz... Jakżem Ci wdzięczny za to jedno wzruszające pytanie..

Otośmy ostali się przed nienawiścią: ja i Ty, i Leszek z Yorkshire, i Stach ze Wschodniej Afryki, i Franek spod Fryburga, i Roman z Londynu, i Józek z Portsmouth... Ale są wśród was ci, których nienawiść przeżarła. Dawni przyjaciele, z którymi grywało się w piłkę, czytało Słowackiego („żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami..."), wiodło długi dyskurs o zasadach bramanizmu albo przemierzało rowerem w pocie i słońcu pylne, hinduskie drogi. Jeden z nich — wstyd mi nie pozwala wspomnieć go z imienia — tak mi odpisał na mój pierwszy list wysłany doń po moim powrocie do Polski:

„Mówicie, że u was jest wolność
Może i jest —
Wolne są wiatry polne
i światło gwiazd — "

To nie były jego słowa. Cytował po prostu wiersyk jakiegoś zagubionego raz na zawsze poety emigracyjnego. Na nic więcej nie było go stać — ktoś inny za niego pomyślał, ktoś inny go wyręczył... Mój Boże, wtedy dopiero naprawdę zrozumiałem, że nas wszystkich tam za granicą pozbawiano systematycznie wszystkiego — nawet samodzielności myślenia. Masz rację, nic nie wskórałem moimi listami. Nie uwierzył. On w nic nie wierzył. Dla niego byłem tylko „megafonem komunistycznej propagandy". Pisałem mu: „Czy wiesz, w jakich nakładach wydaje się u nas klasyków?" „Czy wiesz, że będziemy mieli Nową Hutę?" „Czy wiesz, że nie ma już w Polsce analfabetów"? „Czy wiesz, że Warszawa rośnie?..." Odpisał mi, a jakże, odpisał z całą szczerością, na jaką tylko było go stać, zsumował wszystko i podkreślił grubą krechą: — zaproponował mi, abym za jakiś tam ekwiwalent franków szwajcarskich (oczywiście, jeśli chcę, mogą być złote zegarki) dostarczył mu trochę drobnych, rzecz jasna, całkiem niewinnych wiadomości o stanie szkolnictwa w Polsce, charakterze programu uniwersyteckiego, składzie socjalnym młodzieży na uczelniach... dla dobra naszej wspólnej sprawy. Tak napisał: naszej wspólnej sprawy. Wierz mi, on naprawdę myśli o tym, żeby nie było Warszawy.

Wiem, jeśli go kiedykolwiek spotkasz, nie podasz mu ręki. Ale on powie Ci w oczy, że tak jak Ty „wybrał wolność", tę prawdziwą (Bo u nas, jak się orientujesz, tylko te „wiatry polne" i tylko to „światło gwiazd"). On Ci powie, że wybrał. To ważne słowo. On Ci się nigdy nie przyzna, że wybrali za niego ludzie, którzy uczyli go nie myśleć, nie kochać, którzy nauczyli go nienawidzić. Ale dla mnie i dla Ciebie ten wybór naprawdę istniał. Ja przesądziłem swoją sprawę. Może i mieliście rację, mówiąc, że wróciłem dlatego, iż nie miałem ani zdrowia, ani fizycznych możliwości na to, by pracować w kopalni, prowadzić samochód, kopać tunel czy nawet stać przy warsztacie tak jak Ty. Ale powiedz, czy tylko dlatego? Czy naprawdę tylko dlatego? Czy dlatego np. wracał Wojtek, który dziś pochyla się nad rétortą w laboratorium chemicznym w Krakowie, albo Marian, który dziś nituje płaty stali w szczecińskiej stoczni? Tak czy inaczej ja przesądziłem swoją sprawę. Że wybór mi nie przyszedł łatwo, że powrót to był tylko pierwszy krok, że potem w każdej chwili trzeba było na nowo wybierać, niech zaświadczy fakt, iż dopiero dziś, po sześciu latach tym listem swoim mogę Ci dać świadectwo, że wybrałem raz na zawsze i wybrałem na pewno. Bo widzisz, to nie jest sprawa łatwa — socjalizm To tylko nasi skryci wrogowie mówią, że to jest sprawa łatwa. A tu każdej chwili trzeba rosnąć, a tu w każdej chwili trzeba przełamywać w sobie ten zagnieżdżony w głębi duszy opór, który się — tak jak ja — odziedziczyło z krwią bogobojnych drobnomieszczan.

Ale Ty, mój drogi, Ty nie przesądziłeś swojej sprawy. Powiem Ci coś — i zaufaj mojemu oku — Ty jeszcze nie dokonałeś wyboru. Ty zwlekasz, ciągle zwlekasz. Gdy opiłki żelaza wirują wokół Twojej tokarki — Ty myślisz. Gdy wybierasz się na przechadzkę w australijski busz — Ty myślisz. Dopóki nocą sen Cię nie zmorzy — Ty myślisz. I ja wiem o czym. Zdradziłeś się tym jednym swoim pytaniem...

A ja, mój drogi, nie mogę odpowiedzieć Ci na to, jak wygląda Warszawa. Przez przyjaźń dla Ciebie. Zresztą i tak namiastką swojego opisu nie zaspokoiłbym Twego głodu. To tylko Ty sam możesz głód ten zaspokoić... Ty sam. Niech Ci Bóg dopomoże.

Do serca Cię przyciskam
Twój
Jerzy

P. S. Zapomniałem Ci donieść, że mój brat będzie inżynierem. Zdał przed tygodniem egzamin na Politechnikę. Myślę, że on będzie miał swoje słowo do powiedzenia o nowej, socjalistycznej Warszawie.

ANDRZEJ MICEWSKI

PRZYPOMNIENIA

OBCHODZONE ostatnio rocznice zmuszają do zastanowienia się nad zasadami naszej narodowej racji stanu. Wynika to z faktu, że w Polsce dokonał się przed dziesięciu laty — i dokonuje po dziś dzień — największy w historii przełom. Wielkość tego przełomu dostrzega się szczególnie wyraziście właśnie przez konfrontację z wydarzeniami ostatnich dni międzywojennego dwudziestolecia.

Niedawno obchodziliśmy rocznicę powstania warszawskiego, dzisiaj mija piętnaście lat od rozpoczęcia kampanii wrześniowej. Cechą charakterystyczną obu tych wydarzeń jest to, że autorami ich byli ludzie jednych i tych samych klas społecznych. Polska obszarniczo-mieszczańska skończyła się we wrześniu 1939 roku, ale ci sami ludzie, którzy nią kierowali przed klęską, próbowali jeszcze przez pięć lat kierować losami narodu, doprowadzając w efekcie do powstania warszawskiego. Epilog ten został niedawno bardzo cynicznie określony na łamach emigracyjnej paryskiej „Kultury" w następujący sposób: „Powstanie warszawskie było wymierzone militarnie przeciwko Niemcom, politycznie przeciwko ZSRR, demonstracyjnie przeciwko Anglosasom, a faktycznie przeciwko Polsce". Oto jak autorzy dwu największych klęsk narodowych oceniają swoje własne „dokonania", którym kres położyło powstanie Państwa Ludowego.

Okres września 1939 roku najbardziej chyba obfituje w materiały do oceny epilogu dawnej Polski. Józef Beck mówił w sierpniu 1939 roku że dla jego obozu jest rzeczą „zasadniczą" niezawieranie sojuszu wojskowego z ZSRR. Historia dowiodła czegoś wręcz przeciwnego: podstawową zasadą polskiej polityki zagranicznej jest przede wszystkim sojusz z Krajem Rad.

Egoistyczny interes klasowy przesłaniał wszystkim ówczesnym politykom burżuazyjnym ten oczywisty fakt: Polska bez oparcia się o ZSRR musiała upaść wobec ataku hitlerowskiego.

Sanacja wolała jednak flirt z Hitlerem idący aż do wspólnego rozbioru Czechosłowacji, a później — kiedy niebezpieczeństwo stało się nazbyt oczywiste — uciekła się do sojuszów z Anglią i Francją.

I ciekawe jest, jak ta „zasadniczo" antyradziecka i antypolska postawa przetrwała do dziś w karykaturze, którą stanowią poglądy polityczne emigracji. Egoistyczne interesy utrwaliły w emigracji kompleks antyradziecki każący jej bronić tezy, że Polska przed wrześniem nie miała innej drogi poza polityką ministra Becka. Znaczy to mniej ni więcej tyle, że ci zdrajcy narodu usprawiedliwiają oddanie Polski we wrześniu 1939 roku Hitlerowi, by uzasadnić dziś swoje dalsze paktowanie z neohitleryzmem i swój sprzeciw wobec sojuszu z ZSRR.

Wielkiej ślepoty politycznej trzeba by po wrześniu, po całej wojnie, nawet po powstaniu warszawskim, nadal — jak to czynią nasi „emigranci" spod znaku białego konia — bronić tezy o sojuszu z dalekimi państwami zachodnimi, jako podstawy polityki polskiej. Dlatego każda rocznica wrześniowa jest oskarżeniem o zbrodnię wobec narodu, skierowanym przeciw politykom klas posiadających, przeciw przedwojennemu obozowi rządzącemu przeciw ich pogrobowcom.

Burżuazyjna myśl polityczna w Polsce stworzyła zasadniczo dwie szkoły. Jedna — Romana Dmowskiego — orientowała się na Rosję carską, druga — Piłsudskiego — orientowała się na państwa centralne, a później — na Niemcy hitlerowskie.

Po wojnie, już na emigracji, Cat-Mackiewicz zsyntetyzował tę „myśl polityczną" w tezie, że Polska ma alternatywę: bądź iść z Niemcami przeciwko Rosji, bądź z Rosją przeciwko Niemcom. Po zwycięstwie rewolucji październikowej sytuacja dla burżuazji uległa zasadniczej zmianie. Jej egoistyczny interes dyktował tylko jedną alternatywę z Niemcami przeciw Rosji Radzieckiej. Ta właśnie decyzja zaprowadziła sanację do klęski wrześniowej i utraty niepodległości, a obecnie prowadzi emigrację do rozmów z rewizjonistami niemieckimi i jawnej zdrady narodowej.

*

Racja stanu Polski Ludowej opiera się o niewzruszone zasady proletariackiego patriotyzmu i internacjonalizmu. Zasady te stworzyły w kręgu państw ludowych system stosunków międzynarodowych nowego typu. System ten pozwala nam dzisiaj, kiedy posiadamy najkorzystniejsze granice na Odrze, Nysie i Bugu, Bałtyku i w Karpatach — mieć jednocześnie przyjazne stosunki ze wszystkimi sąsiadami.

Naród nasz po tylu doświadczeniach musi zdobyć się na głębszą ocenę nie tylko błędów i klęsk, ale także korzyści i osiągnięć. Podstawą do tego jest pełne uświadomienie sobie wszystkich klęsk, jakie sprowadziła polityka przedwrześniowa i wszystkich osiągnięć narodu, które zawdzięcza on polityce władzy ludowej.

Międzynarodowa pozycja Polski jest obecnie wyjątkowo mocna. Ta pozycja międzynarodowa i doniosłe przemiany społeczne ostatnich lat pozwoliły na wielki rozwój przemysłowy kraju. Nasze osiągnięcia na tym odcinku sprawią, że w ciągu kilku następnych lat staniemy się jednym z głównych ośrodków życia gospodarczego w Europie.

Posiadanie bazy przemysłowej stworzyło podstawę podniesienia i rozwoju pozostającego w tyle rolnictwa. Otóż trzeba sobie dobrze zdać sprawę, że te wszystkie osiągnięcia są wynikiem faktu, że żyjemy w kręgu państw socjalistycznych.

Wśród państw naszego obozu nie ma i być nie może żadnych konfliktów natury polityczno - gospodarczej. Dowodem tego są obecne stosunki między Polską a Niemiecką Republiką Demokratyczną. Oczywiście, że taki system pokojowych stosunków międzynarodowych może istnieć dlatego, że opiera się on na zasadach sprawiedliwości i internacjonalistycznego poszanowania praw każdego narodu. Ale zespół państw ludowych posiada przez swą politykę międzynarodową olbrzymią siłę przyciągania. Dlatego wiele krajów niesocjalistycznych w różnych częściach świata, jak np. Indie, orientuje się w kierunku pokojowego współistnienia państw o różnych systemach, co jest tezą obozu socjalistycznego. Kraje tego obozu są naturalnym sprzymierzeńcem ludów kolorowych i ruchów narodowo - wyzwoleńczych. Stanowią one mocne oparcie moralno - polityczne dla ruchu pokoju i dążeń postępowych na całym świecie.

Polska — po 10 latach od klęski wrześniowej — zajmuje poczesne miejsce w kręgu państw ludowych i stale rośnie jej znaczenie w świecie. Jest to dla naszego narodu niebywały awans historyczny dający powód do słusznej dumy narodowej.

WOJCIECH KĘTRZYŃSKI

WIELKA GODZINA FRANCJI

Przyjaciele narodu francuskiego już od dłuższego czasu śledzili z troską rozwój wydarzeń w Paryżu. Troska przyjaciół Francji łączyła się jednak z rosnącym niepokojem i pogłębiającą się odrazą, z jaką na rozwój wydarzeń patrzyli sami Francuzi. Rządy Laniela, według licznych i godnych szacunku opinii, były okresem nie tylko wielkiego upadku prestiżu Francji, ale również i okresem, gdy francuska godność narodowa została poważnie urażona. Nie mówmy już o sytuacji wewnętrznej, o chaosie ekonomicznym, o policyjnych rządach pana Martinaud - Deplat, o intrygach w Afryce Północnej. W polityce zagranicznej Francja przestała się liczyć. Na konferencji berlińskiej francuski minister spraw zagranicznych, Georges Bidault, odgrywał nikczemną rolę jawnego agenta. Na polu bitwy w Indochinach — wojska francuskie pchnięte na beznadziejne pozycje Dien Bien Phu poniosły klęskę, której znaczenie i odgłos moralny porównać można tylko z pamiętną katastrofą włoskiej wyprawy kolonialnej pod Aduą w Abisynii w roku 1896. Ten sam Bidault dokonał jeszcze rozpaczliwych wysiłków, by przegraną w Indochinach zmienić w konflikt międzynarodowy, apelował o interwencję amerykańskiego lotnictwa atomowego i nawet na konferencji genewskiej próbował ponownie szantażować amerykańską agresją.

Nie tylko świadomi i dalekowzroczni patrioci, lecz nawet najbardziej powszechna opinia publiczna Francji odczuła wydarzenia ostatniego roku jako plamę na honorze narodowym. Nie pomogły intrygi, zakulisowe gierki, kłamstwa i pogróżki. Rząd Laniela został nie tyle zdymisjonowany, co wyproszony, przepędzony.

W tych okolicznościach władzę we Francji obejmuje Pierre Mendès-France. Na barki tego człowieka, którego ideologia nie jest postępowa, którego sympatie wiążą się ze światem kapitalizmu — spadła olbrzymia odpowiedzialność za wydobycie polityki francuskiej z bagna, w którym utonął rząd Laniela.

Trzeba uznać wysiłek, z jakim ten polityk, który chce być uczciwym Francuzem, poświęcił się temu zadaniu. Trzeba stwierdzić, że choć oczywiście każde jego posunięcie jest tylko „półśrodkiem, bo utrzymuje Francję w obrębie polityki atlantyckiej, to jednak Mendès-France w ciągu paru miesięcy dokonał dzieła, za które przejdzie do historii: podpisał zawieszenie broni w Indochinach, zamanifestował chęć zahamowania terroru w Afryce Północnej. Najcięższym jednak i najbardziej odpowiedzialnym zadaniem było wyprowadzenie Francji z impasu, jakim się stała tzw. europejska wspólnota obronna.

Polityka Stanów Zjednoczonych przez trzy lata omotała Francję siecią najróżniejszych manewrów i intryg, których ostatecznym celem miało być przekreślenie francuskiej suwerenności narodowej, stworzenie nowej organizacji politycznej zachodniej Europy, w której amerykańskim mężem zaufania byłby kanclerz Adenauer, żandarmem zaś — niemiecki Wehrmacht. Politycy francuscy pełniący władzę w ciągu ostatnich lat — panowie Bidault, Schuman, Pleven, Reynaud, Laniel — oto ekipa grabarzy, którzy konsekwentnie kopali grób dla francuskiej niepodległości. To, że dalszym rezultatem zdrady narodowej byłaby rychła wizja nowej światowej katastrofy, nie odstraszało tej ponurej ekipy od jej dzieła; dyktat amerykańskiej polityki zastąpił im nie tylko rozum, ale i sumienie.

Uchwała Francuskiego Zgromadzenia Narodowego, które po najdramatyczniejszej chyba dyskusji w swoich dziejach odrzuciło bezwzględną większością głosów amerykańską koncepcję „wspólnoty europejskiej" — to pierwszy po wielu latach znak, że naród francuski z powrotem przejął kontrolę swej polityki, to punkt wyjściowy dla nowej odrodzeńczej aktywności, zgodnej z racją stanu tego wielkiego narodu.

Naród francuski musiał jednak znieść niejedno jeszcze upokorzenie, nim w Zgromadzeniu Narodowym odezwało się tych trzysta dziewiętnaście głosów, które uratowały honor i niepodległość Francji.

Naród francuski musiał jeszcze patrzeć, jak rząd jego próbuje bezskutecznie znaleźć formułkę kompromisową, która by pozwoliła wykręcić się z przyjętych uprzednio zobowiązań bez utraty dolarów, których przeznaczenie Amerykanie określili z cyniczną szczerością. W Brukseli Mendès-France pierwszy i — miejmy nadzieję — ostatni raz przekonał się, że „europejska wspólnota obronna" była organizmem, w którym Francja nie miała prawa głosu. Namiestnik „wspólnoty", Adenauer, okazał to najdobitniej pogardliwą odmową odbycia w toku obrad rozmowy z premierem Francji. Trzeba było wreszcie niedwuznacznego stwierdzenia, że rząd francuski przedkłada swemu parlamentowi do ratyfikacji lub odrzucenia układ bez określenia własnego stanowiska, gdyż polityka zagraniczna Francji nie była już niezależna — trzeba było tylu bolesnych policzków, by, wsłuchane w gniewne odgłosy z wszystkich krańców Francji, Zgromadzenie Narodowe odruchem buntu przeszło do porządku dziennego nad sprawą układu paryskiego o „wspólnocie europejskiej".

Bolesna godzina i wielka godzina dla Francji. Bolesna, bo naród francuski ma poczucie, iż jego politycy, kryci przez lata zaufaniem własnego parlamentu, przygotowali to upokorzenie i tę sytuację, w której przyszłość Francji wisiała na włosku. Wielka, gdyż przyszedł dzień przeprowadzenia porachunku za dokonaną zdradę.

Nieomal bez przerwy od chwili wyzwolenia ster francuskiej polityki zagranicznej znajdował się w ręku polityków z MRP, francuskiej chadecji. Dwóch ludzi dzieli się odpowiedzialnością za pchnięcie Francji pod but amerykańsko-pruskiego dyktatu: Bidault i Schuman, obydwaj są czołowymi politykami MRP. MRP ponosi odpowiedzialność za wybuch wojny w Indochinach, za jej rozwój, przebieg i klęskę. MRP ponosi odpowiedzialność za kolonialną politykę w Tunisie i Maroku, za szykowanie tam bazy dla ewentualnej militarno - faszystowskiej dyktatury we Francji.

Gdy więc po ostatecznym odrzuceniu układu paryskiego we francuskim Zgromadzeniu Narodowym wzniósł się triumfalny śpiew „Marsylianki" — to posłowie MRP po raz pierwszy zrozumieli chyba swe osamotnienie i ogrom winy ciążącej na ich przywódcach.

Prawda jest bezlitosna. W dyskusji poprzedzającej ostateczną debatę padło oskarżenie, iż w Izbie Deputowanych znajduje się „partia niemiecka", która stanęła na usługach obcej polityki, niezgodnej z interesami narodu francuskiego. Jeśli mianem tym można określić wszystkich 264 deputowanych, którzy bronili układu, to jednak tym jądrem, kadrą i sztabem zdrady narodowej było stronnictwo MRP i jego przywódcy. Będziemy jeszcze świadkami ich dalszej nieubłaganej polityki zagranicznej. Jeśli cokolwiek pozostało z chrześcijańskiego charakteru ich programu — to zniknie to do reszty w obecnym okresie.

Wielka godzina Francji jest jednak również godziną wielkiej odpowiedzialności. Nie wystarczy bowiem zamienić trzyletniego zwlekania na negatywny głos deputowanych. Trzeba teraz odpowiedzieć na pytanie — co dalej? Na to pytanie nie umiał jeszcze odpowiedzieć Mendès-France i nie umie odpowiedzieć francuskie Zgromadzenie Narodowe.

Polityka amerykańska postawiła na oś Waszyngton — Bonn. Dulles zdecydowany jest nadal uczynić wszystko, żeby mieć w Europie zachodnio - niemieckie dywizje. Użyje wszystkich środków presji, by w ten czy inny sposób zmusić Francję, aby podporządkowała swą politykę amerykańskiemu dyktatowi. Z drugiej strony kryzys francuski budzi jak najżywsze zainteresowanie polityki brytyjskiej. Politycy brytyjscy wiedzą dobrze, iż w osobie francuskiego premiera znajdą człowieka chętnego do wspólnej gry politycznej. Nie bez powodu snuje „Times" takie rozważania w dniu odrzucenia układu paryskiego:

„Prawdą jest, że do Anglii należy wskazanie sposobu, za którego pomocą Niemcy mogłyby zostać uzbrojone i związane z Zachodem, mimo że Anglia jest dziś mniej mocna niż była dawniej... Do niej raczej zwraca się Francja niż do USA. Sir Winston Churchill i Eden mogą obecnie odegrać rolę, jakiej im dotąd odmawiano".

Istota wewnętrznych rozgrywek w łonie atlantyckiej koalicji nie jest bynajmniej nieważnym czynnikiem dla rozwiązania i problemu niemieckiego, i w ogóle walki o pokój. Fakt, że Francja z rządem burżuazyjnym ale samodzielnym i energicznym stanie się aktywnym czynnikiem tych rozgrywek — może mieć w przyszłości kapitalne znaczenie. Dla Francji, tak jak i dla Polski, jest to sprawa najważniejsza, sprawa najbardziej żywotna. Uzbrojenie Niemiec zachodnich, w jakichkolwiek bądź warunkach, z jakimikolwiek zastrzeżeniami i gwarancjami — pozostaje zawsze elementem zagrożenia pokoju, pozostaje czynnikiem uniemożliwiającym zjednoczenie narodu niemieckiego, a więc stwarzającym perspektywy przyszłych międzynarodowych konfliktów.

W ciągu ostatnich gorzkich lat naród francuski miał okazję przekonania się o rzeczywiście pokojowych intencjach polityki obozu socjalizmu. Jakkolwiek przyszłość Francji będzie ją nieuchronnie zbliżać do obozu postępu, to nawet pod rządami ściśle kapitalistycznymi istnieje przed nią tylko jedna logiczna linia polityki zagranicznej, linia dyktowana zdrowym rozsądkiem, instynktem samozachowawczym, świadomym interesem ludzkości: linia trwałego budowania pokojowego współżycia wszystkich narodów europejskich i wspólnym wysiłkiem zapewnienia Europie pokoju, a narodowi niemieckiemu możliwości pokojowego rozwoju.

Jakkolwiek zręczna będzie polityka Mendès-France'a — przyjdzie chwila wyboru między interesem Francji a amerykańsko - niemieckim dyktatem. Wówczas to solidarność europejska ukaże swe prawdziwe oblicze. Związek Radziecki na tejże właśnie solidarności buduje zręby swej dyplomacji. Tylko zasada zbiorowego paktu bezpieczeństwa narodów europejskich stwarza możliwości i pokojowego rozwiązania problemu niemieckiego, i stworzenia perspektyw rozwojowych dla ekonomii krajów europejskich, zduszonych kurtyną amerykańskiego embargo. Naród francuski doskonale czuje wagę takiej właśnie polityki i o nią będzie walczył w najbliższej przyszłości.

Polska w niedawnej nocie przypomniała rządowi francuskiemu o tradycyjnym, klasycznym problemie polsko - francuskiej przyjaźni. Proponowany układ, leżący w najoczywistszym interesie obu narodów, otwierałby nie tylko perspektywy właściwych rozwiązań w problemie niemieckim, lecz stawałby się zaczynem właśnie dla idei zbiorowego bezpieczeństwa.

Jakakolwiek by była odpowiedź rządu Francji na polską notę i jakiekolwiek by były nowe posunięcia dyplomatyczne — w tych wielkich dniach zwarła się jeszcze mocniej przyjaźń naszych narodów i umocniło się poczucie wspólnych celów i wspólnej walki. Tę walkę o silną i bezpieczną Europę, zjednoczoną w pracy nad swą lepszą przyszłością — wygramy. Wygra ją i naród francuski, mocny i piękny zarówno w dniach radości, jak i w okresach smutku.

Życzymy mu jak najwięcej dni radosnych i zwycięskich.

ZBIGNIEW CZAJKOWSKI

W KRĘGU WALKI O NOWYCH LUDZI

Pociąg pośpieszny Warszawa—Berlin minął już stację graniczną w Kunowicach i wolno wtoczył się na stalowy most rozpięty nad Odrą. Pamiętam, że wyjąłem wtedy po raz pierwszy swój notes i usiłowałem naszkicować „na gorąco" wrażenia ze spotkania — jeszcze przed ludźmi i krajem — z niemieckim brzegiem Odry.

Obecnie, gdy z perspektywy dni wracam do tamtych wspomnień, wydają mi się one mało ważne. Niektóre z tych topograficznych obserwacji zamazują się już w pamięci, niemal zachodzą mgłą tak, jak widziana z okien przesuwającego się po moście pociągu Odra, szeroko rozlana pod Frankfurtem. Jeszcze dziś pamiętam jej płaski, polski brzeg i klucz małych, tulących się do niego wysepek, gęsto porośniętych wikliną, ale za parę miesięcy i ta pamięć się zatrze, podobnie jak o innych, ciekawszych jeszcze obserwacjach, pozostawiając o Odrze wspomnienie szarej, mętnej rzeki. Prawdopodobnie zapomnę też wkrótce o wrażeniach, jakich doznałem w weimarskiej galerii obrazów, gdzie z zabawną, statystyczną pedanterią doliczyłem się szesnastu Cranachów — tak, jak już dziś z trudem odtwarzam sobie w pamięci zarysy pięknego, myśliwskiego zameczku Tiefurt, w którym wielokrotnie Goethe szukał natchnienia i źródeł nowych miłości.

Z wszystkich tych obrazów, odsuwających się ode mnie z biegiem dni, pozostaje nadal niezatarte, a nawet mógłbym powiedzieć, że równie jak wówczas silne, wspomnienia o ludziach, o Niemcach z NRD. Były sprawy, o których nie mówiło się głośno, w każdym jednak zdaniu, pytaniu, w spojrzeniu wyczuwało się wyraźnie, że one są najważniejsze, że one właśnie ściągają na siebie nieustannie uwagę naszą i naszych gospodarzy. Chodziło o to, że Niemcy — ukazując nam swój kraj, prezentując osiągnięcia gospodarcze i kulturalne w NRD — traktowali to wszystko jako wielkie tło, niewątpliwie ważne w sferze ogólnego poznania, ale stanowiące tylko kanwę, na której dopiero chcieli ukazać najważniejszy czynnik właściwego rozeznania — nowego człowieka.

Gospodarze trafnie odgadli naszą intencję poznania nie tylko piękna ich kraju, o którym mamy wyrobione pojęcie, nie tylko życia gospodarczego, o którym wiemy, że stoi na wysokim poziomie, ale przede wszystkim nowego, niemieckiego człowieka. Dawaliśmy zresztą sami dość podświadomie o tym znać, gdyż prawie zawsze ciągnąc spojrzeniem za ruchem ręki naszych przewodników ukazujących nam fabryki, muzea, świątynie — wracaliśmy zawsze wzrokiem do naszych rozmówców, jakby stawiając, wprawdzie nigdy nie wypowiedziane, ale nie mniej bardzo intymne wśród ludzi pytanie: czy mogę ci rzeczywiście zaufać?

Gospodarze starali się pokazać nam wszystko, co mogłoby świadczyć o ich prawdziwej postawie i o otwarciu przed nami swej duszy. Dlatego też ukazywane przed nami obrazy nosiły często cechy wstrząsających paradoksów: były poplątane nie tylko czasem, ale i treścią.

Wyobraźmy sobie taki widok: płaska, skalna platforma, oparta z jednej strony o bukowy las, a z trzech pozostałych otwarta bajeczną panoramą rozciągającej się w dole granatowo-złocistej Turyngii. Widok wspaniały. Wydaje się, że patrząc stąd, z tego miejsca, na pofałdowaną krainę lasów i pól — można zapomnieć o troskach powszedniego dnia. Rozciągająca się szeroka perspektywa napawa człowieka radością życia. To jedno z najpiękniejszych pod względem położenia miejsc nazywa się — Buchenwald. Tuż obok, w szarych, kamiennych budynkach zamknięta została tragedia tysięcy ludzkich istnień. Perfidia i wyostrzone do granic ostateczności wyrafinowanie hitlerowskich zbirów podsunęło im pomysł wybudowania obozu w miejscu, w którym każdego ranka czekała więźniów okrutna konfrontacja życia i śmierci. Oczy ludzkie nie są zdolne spokojnie i bez wstrząsu spojrzeć na straszne eksponaty — „pamiątki" po hitlerowcach: na spreparowane skóry ludzkie służące do wyrobu abażurów. Jedna z nich — poznałem to po tatuażu i trójkolorowej fladze — musiała należeć... — nie, to słowo nie oddaje treści — musiała być Francuzem.

W godzinę później, w powrotnej drodze, przejeżdżałem przez malowniczy weimarski park. Musiałem zmusić się, niemal przecierać po wspomnieniach Buchenwaldu oczy i mózg, aby dojrzeć Gartenhaus — niezapomniany, rozkwiecony domek Goethego. Wydawał mi się tak kruchy, że wystarczyłoby chyba pchnąć go palcem, aby się rozleciał. Tymczasem stoi tu już przeszło sto lat i w takim stanie, w jakim mogliśmy go obecnie oglądać, widzieli go zapewne Mickiewicz i Odyniec, gdy odwiedzali genialnego poetę Niemiec.

Przypomina mi się jeszcze inny obraz: najczęstszym miejscem spacerowym we wschodnim Berlinie jest malowniczy park w Treptow. Prowadzi doń szeroka, wysadzona lipami i klonami aleja, przy której leży park-mauzoleum poległych radzieckich żołnierzy. Rozwiązanie architektoniczne mauzoleum jest surowe, poważne, pełne patosu nie krzyczącego jednak w sobie łez ani lęku. Jest to pomnik, który symbolizuje wielkość czynu. W mauzoleum byłem kilkakrotnie i zawsze widziałem, mimo powszedniego dnia, wielu podążających doń Niemców. U stóp pomnika leżały kwiaty, zeschnięte i świeże — ślad stałej pamięci. Wyjeżdżając z miejsca naszego „kwaterunku" w Berlinie do Treptow, przejeżdżaliśmy zwykle koło Brandenburger Tor, za którą rozciągał się już sektor zachodni Berlina. Przestrzeń, wokół Bramy Brandenburskiej zalegają gruzy. Na niektórych z nich wyrosły nie tylko chwasty, ale spore już krzewy. Teren jest pusty, w nocy upiornie straszny. Przejeżdżając któryś już z rzędu raz tą samą drogą zwróciłem uwagę na potężne, szare zwały murów. Otrzymałem odpowiedź, że są to resztki osławionej siedziby Hitlera — Reichskanzlei. Bez przesady można napisać, że na tych ponurych ruinach krążą kruki, wrony i neohitlerowcy, wierzący w reinkarnację führera. Sądzę, że w tym wypadku mają rację, gdyż obecny „kanclerz" boński — Adenauer — niewiele się różni od swego faszystowskiego poprzednika.

Dziwne a czasem nawet wstrząsające były te zestawienia. Jakże ogromna przepaść legła między zboczeniem zbirów z Buchenwaldu a humanizmem poezji Goethego. A przecież miejsce kaźni od domu Goethego oddalone jest zaledwie o dziesięć kilometrów i napewno ci sami osobnicy, którzy preparowali ludzkie skóry, wielokrotnie ocierali się o Gartenhaus; być może, że tak jak my i tysiące innych turystów, dotykali go rękami, twierdząc ponadto butnie — i nie bez pewnej słuszności — że to jest ich dziedzictwo, że to jest „część" ich kultury. Równocześnie mieli czelność tępić bezlitośnie postępowe pędy kultury niemieckiej paląc na stosie — jakby to były czasy inkwizycji — tomy poezji Heinego.

Pokazywano mi te kontrastowe, niemal paradoksalne obrazy wielokrotnie spuszczając w dół oczy. Rozumiem doskonale ból przyznania się do tych faktów, które na wieki okryły hańbą naród niemiecki. Ale byłoby błędem podciągać Buchenwald, Oświęcim i tysiące podobnych hitlerowskich zbrodni pod pojęcie ogólne — charakteryzujące cały naród. Nie można bowiem zapomnieć, że w tym czasie, gdy na wschodzie i zachodzie Europy, na ziemiach Związku Radzieckiego i Polski, Francji i Norwegii szalał terror hitlerowski, w barakach obozu w Buchenwald ginął Ernst Thaelmann i tysiące innych Niemców. Naród niemiecki przechodził i przechodzi w ostatnich latach wewnętrzną walkę oddzierania od swego ciała imperialistycznych, pruskich akcesoriów i przeistaczania go w kształty ludzkie, bliższe swej naprawdę wielkiej kulturze i historii. Proces ten zachodzi obecnie w NRD, w przyśpieszonym tempie usiłując odrobić wieloletnie straty reżimu pruskiego i Hitlera.

Dlatego więc rozumiem zażenowanie naszych gospodarzy, którzy nie dając bezpośredniej odpowiedzi na nasze pytanie, udzielali jej w formie kontrastowych zestawień: wczoraj — dziś — jutro. Wydawało się mi się, że w ich oczach czytam wyznanie: patrz, oto jest treść zmieniającego się wokoło nas życia: w tych warunkach zmieniamy się i my sami tworząc nowe, inne niż dotychczas znaliście, Niemcy. Czy nam możecie zaufać?

II

Identyczne pytanie postawił jeden z naszych niemieckich rozmówców w Poczdamie:

„Czy naród polski ufa nam, demokratycznym Niemcom, że ta droga, którą teraz idziemy w NRD, jest drogą zbliżenia naszych narodów?"

Pytanie było zasadnicze — odpowiedź musiała być równie zdecydowana i szczera. Właściwie mogła być tylko jedna — „tak", ale sądzę, że jej lakoniczność jest nie wystarczająca. Jest nie wystarczająca przede wszystkim dlatego, że oprócz afirmacji należą się niemieckim siłom postępu, walczącym o zjednoczenie swego kraju na demokratycznych zasadach, słowa uznania i otuchy. Sprawa jedności Niemiec przekracza swą ważnością granice jednego kraju. To nie jest tylko sprawa wewnętrzna Niemiec, lecz bezpośrednio z nią się wiąże kwestia tzw. armii europejskiej, odbudowy hitleryzmu w Niemczech, zagrożenia naszych granic zachodnich, w ogóle wiąże się z nią problem wojny lub pokoju. W obecnej chwili naród niemiecki stoi przed alternatywą: powrotu na drogę prusko-hitlerowską i grania w dalszym ciągu roli „straszaka" imperializmu przeciw Polsce, Francji i pozostałym sąsiadom; czy też wygrania wielkiej szansy przebudowy społeczno-politycznej kraju i utrzymania dobrosąsiedzkich stosunków z innymi narodami. Dlatego też tak bardzo interesują nas ludzie w NRD, a zwłaszcza proces ich przemiany świadomości społecznej i politycznej. Przyszłość nowych Niemiec — to przede wszystkim młodzież i dzieci, w których w NRD nie szczepi się jadu rasistowskiej nienawiści. Niestety, nie byłem w obozach niemieckich pionierów im. Thaelmanna, czy im. Bieruta; ci natomiast z moich kolegów, którzy mieli możność je odwiedzić, podkreślali właściwe metody wychowania młodzieży, a zwłaszcza troskę o podniesienie jej ideowości i ducha internacjonalizmu.

W trakcie takiej właśnie rozmowy o dzieciach, gdy porównywaliśmy siłę przyrostu młodego pokolenia w Polsce i w Niemczech, zeszliśmy z toru spraw ludzi żywych na straty wojenne. Mój niemiecki rozmówca przypomniał mi parę liczb, które rzuciły mi nowe światło na sprawę wojen i ich następstw. Nie wiem, skąd czerpał dane, ale sądzę, iż nie były zmyślone. W I wojnie światowej straty niemieckie wyniosły wg jego relacji 7,1 mln. ludzi, w drugiej zaś 9,5 mln., razem 16,6 mln., czyli mniej więcej tyle, ile wynosi ludność Jugosławii.

— Czy sądzi pan — dodał po chwili, że trzecia wojna byłaby łagodniejsza dla nas? Hitlerowi chodziło o zdobycie tzw. „Lebensraumu" — przestrzeni życiowej dla Niemców. Kosztem wytępienia narodów słowiańskich i ujarzmienia krajów romańskich chciał „przesiedlić" na wschód dwa miliony Niemców. W efekcie spowodował śmierć 5 milionów Niemców a 4 miliony skazał na kalectwo.

Sąd tego młodego Niemca nie był precyzyjny, pozbawiony był bowiem wnikliwszej analizy polityki hitlerowskiej, pozbawiony był przede wszystkim oceny krzywdy, jaką hitleryzm wyrządził całemu światu, wyrażał jednak dość charakterystyczną postawę części społeczeństwa niemieckiego: lęk przed nową wojną, obawę przed jej skutkami, przemęczenie militaryzmem pruskim.

Sądzę, że byłbym nieszczery, gdybym milczał o obliczu innych Niemców; tych, którzy dostrzegają w grożącej wojnie zło, nie umieją jednak wybrać właściwej drogi, aby mu się przeciwstawić. Takich również Niemców spotkałem w NRD. Są to ci np. z mieszkańców Weimaru, którzy nie byli jeszcze nigdy w Buchenwaldzie i z tych powodów wydaje im się, że mają „czyste ręce". Dokonaną zbrodnię w obozie śmierci traktują jako akt, który odbył się bez ich udziału. Są zwolennikami tzw. odpowiedzialności bezpośredniej, osobistej naturalnie, bo wykluczającej ich z tych „niepopełnionych" czynów. Ich świat zamyka się w mieszczańskim kręgu wygodnego życia. Obawa przed rozbiciem tego kręgu każe im opowiadać się przeciw wojnie. W tym miejscu kończy się zazwyczaj ich proces myślenia a rozpoczyna się gra: na kogo najlepiej postawić?

Są wreszcie i Niemcy — wrogowie pokoju, zwolennicy „strasznego starca" Adenauera, hitlerowskich generałów i amerykańskiego dolara. Ich to dziełem były pamiętne wypadki w ub. roku, zwane „czerwcowymi dniami". Oni to podpalali stodoły ze zbożem niemieckim rolników, mordowali niemieckich działaczy pokoju i ludzi partii.

Wydaje mi się, że podobny przekrój społeczny spotkamy w innych krajach, we Włoszech, Francji, nawet w krajach demokracji ludowej. Jest to przekrój charakterystyczny dla każdego społeczeństwa, w którego łonie toczy się walka klasowa. Ważne jest w takim przekroju, jak kształtują się proporcje sił.

Trudno mi, na podstawie skromnej autopsji, powiedzieć precyzyjnie o układzie sił w NRD. Wydaje mi się jednak, że w ostatnich miesiącach nastąpiło ogromne ich przegrupowanie, naturalnie na korzyść sił demokratycznych i pokoju. Szczególnie ostatnie wypadki, jak m. in. przejście do NRD dr Johna, a następnie posła do Bundestagu — Schmidt-Wittmacka — są jaskrawymi dowodami gwałtownej przemiany postawy politycznej ludzi, którzy do niedawna byli jeszcze rzecznikami armii europejskiej, dziś natomiast dostrzegając swój błąd usiłują go naprawić przez demaskowanie sił prowojennych i nawoływanie do walki z polityką Adenauera. Takich ludzi, jak dr John czy Schmidt-Wittmack, jest w Niemczech zachodnich znacznie więcej. Pisał mi o tym niedawno jeden z niemieckich kolegów, poznanych w Berlinie: „w tych dniach wyjeżdżam z żoną do naszej republiki (mowa o republice federalnej — przyp. mój), aby odwiedzić kilka rodzin niemieckich, które zwróciły się do nas z prośbą o azyl, ponieważ nie znajdują żadnej egzystencji w państwie Adenauera. O sprawie tej napiszę nieco więcej. Napływ Niemców z Zachodu rośnie z dnia na dzień, ponieważ ludzie pomału przezwyciężają lęk, poznając prawdę mimo rozsiewanej przeciw nam kampanii nienawiści i kłamstwa...".

Walka w Niemczech trwa. Toczy się z niesłabnącą siłą nie tylko o jedność kraju i jego demokratyczną przyszłość, ale przede wszystkim o nowego człowieka, o nowego Niemca, którego wychowanie, świadomość społeczna i polityczna, którego światopogląd będą ukształtowane w imię idei braterstwa narodów i pokoju. W walce tej, prowadzonej przez postępowe siły narodu niemieckiego dostrzegamy symbol wspólnych myśli i słów, zbieżność naszych dróg, trudności i powodzeń...

Wracam znow do swego notatnika. Szukam kartki, na której zanotowałem wówczas krótkie zdanie, będące odpowiedzią na nieme, pytające spojrzenie Niemców z NRD. Znajduję je na końcu. Jest krotkie: „Takim Niemcom możemy zaufać...".

Redaguje Zespół. Prenumerata miesięczna 4 zł Kwartalna 12 zł Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43, tel 8-60-11 (15). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze Zakłady Drukarskie i Wkleistodrukowe RSW „Prasa" W wa, Marszałkowska 3/5 Zam. Nr 2003 5-B-150098

JERZY KRASNOWOLSKI

WARTOŚĆ KATOLICYZMU

Z miejsca narzuca się pytanie: czy sam problem jest właściwie postawiony, czy w ogóle jest sens mówić o wartości katolicyzmu? Wszak jest on prawdą. Jego niezmienne zasady zostały objawione przez Boga: to jest źródłem jego najwyższego autorytetu. Zasady te są od nikogo niezależne, są prawdziwe w każdej epoce i na każdym miejscu. Są obiektywne i bezwzględne.

Zasadniczy aspekt katolicyzmu tkwi w wieczności, jest najściślej związany z historycznym faktem Wcielenia i z Odkupieniem, które dokonało się na Golgocie i które wciąż się dokonuje poprzez instytucję Kościoła. W tym aspekcie trudno jest mówić o wartości katolicyzmu: jest on transcendentalny — dlatego wyklucza wartościowanie.

Jednak człowiek obok celu w wieczności ma też cel doczesny, zamknięty w ramach życia na ziemi. Także chrześcijaństwo obok zasadniczego aspektu: wyzwolenia duchowego, jakie przynosi — ma jeszcze drugi aspekt: wyzwolenie w granicach doczesności, stopniowo urzeczywistniające się poprzez historię.

I tu stawiamy nasz problem: chcemy mówić o wartości katolicyzmu dla cywilizacji, w łonie której aktualnie istnieje. Precyzujemy zagadnienie: jaki ma wpływ fakt, że dana jednostka jest katolikiem na jej wartość dla społeczeństwa i cywilizacji, w jakiej żyje.

Trzeba od razu odciąć możliwość niekończących się nieporozumień, trzeba wyjaśnić pojęcia. Gdy mówimy o wartości katolicyzmu, musimy stwierdzić, czy mamy na myśli pewną określoną rzeczywistość historyczną i socjologiczną, czy też samą jego istotę — jego treść transcendentalną? Czy mamy na myśli praktykę czy też teorię, katolicyzm taki, jaki jest, czy też taki, jaki powinien być? Czy chodzi nam o wartość aktualną, czy też wartość potencjalną? Jest to różnica zasadnicza. My sami, gdy mówimy o katolicyzmie, mamy najczęściej na myśli jego zasady

W epoce współczesnej zagadnienie wartości katolicyzmu jako określonej rzeczywistości socjologicznej przedstawia się dosyć tragicznie.

Na przestrzeni wieków katolicyzm stopniowo zatracał swą aktywność i dynamizm. Nie tylko przestał tworzyć cywilizacje, ale powoli tracił wpływ na te, które powstały poza nim, a w których niejednokrotnie jego wyznawcy byli większością. W ramach cywilizacji współczesnej katolicyzm stał się elementem trzeciorzędnym. Nadaje jej czasem zewnętrzną polewę, jednak — mimo swej liczebności — nie jest tą siłą, która w niej nurtuje i przekształca od wewnątrz.

Katolicyzm nie jest tylko teorią i doktryną. Jest również praktyką. Jest konkretną rzeczywistością. Jest koncepcją życia i działania, której sens zostaje określony przez to, że może i powinna być realizowana.

Katolicyzm ma dwa zasadnicze aspekty: teoretyczno - poznawczy i woluntarystyczny. Drugi z tych aspektów stopniowo ulegał zagubieniu. Pociągnęło to za sobą niebezpieczne konsekwencje. Katolicyzm zatracił swój charakter całościowy i integralny. Zaczął się ograniczać do wąskiej sfery przeżyć wewnętrznych. Przestał być siłą, która ludzi dynamizuje i czyni twórczymi, która sprawia, że biorą oni na siebie odpowiedzialność za bieg wydarzeń.

Jeden z wybitniejszych publicystów katolickich pisał w roku 1937: *„(Katolicy)... mają, rzekłbyś, jakąś wiarę w samoczynne działanie zasad wyznawanych czy nawet tylko wypowiedzianych... wielu dzisiejszych katolików zdaje się czekać cudu, który by wcielił w życie te ich wzniosłe, lecz martwe zasady... Jakiś dziwny fatalizm losu, skazał katolików na bezczynność, na uchylanie się od odpowiedzialności za bieg wypadków. Stoją oni jakby na uboczu i grają wygodną rolę widzów. Zjawisko jest tym bardziej niezrozumiałe, że to właśnie katolicy stale głoszą i powtarzają, iż są w posiadaniu sekretu dziejów i poczynań społecznych"*. Dalej publicysta ten cytuje E. Borne'a: *„Stajemy się każdego dnia coraz więcej podobni do magika, będącego w posiadaniu eliksiru szczęścia, którym się innych olśniewa, ale żadnego zeń nie czyni użytku"*. Wreszcie dochodzi do ostatecznego wniosku: *„Ta właśnie teoretyczna słuszność przy praktycznej indolencji i ten zbanalizowany na modłę burżuazyjną złoty środek — to wyrok, jaki katolicy - widzowie sami na siebie wydali"*.

Katolicy ograniczyli się niemal całkowicie do roli „posiadaczy prawdy" i stali się jej pasożytami. Prawdę tę uczynili czymś niezmiernie wygodnym, nieszkodliwym i do niczego nie zobowiązującym. Wystarczy ją „stwierdzić" i można już spokojnie patrzeć na świat przytłoczony bólem, na bolesne zmagania tych, którzy biorą na siebie ciężar odpowiedzialności i zaangażowania

Jednak najtragiczniejsza w skutkach była bierność katolików na odcinku społecznym. Doprowadziła ona do tego, że katolicyzm zatracił to, co jest jednym z najgłębszych i najbardziej istotnych elementów chrystianizmu — charakter społeczny. Katolicy nazbyt często odnosili się obojętnie do nędzy, wyzysku i niesprawiedliwości społecznej. Co najwyżej zdobywali się na świadczenie miłosierdzia: w ten sposób usuwali pewne jaskrawsze przejawy zła społecznego, jednak mu nie zapobiegali — co więcej — nawet nie dostrzegali jego istotnych przyczyn. Jednocześnie stali się tolerancyjni wobec zjawisk społecznych niemoralnych i niesprawiedliwych.

Socjologowie katoliccy zajmowali się czasem tworzeniem koncepcji nowych porządków społecznych. Były one jednak całkowicie nierealne: nie uwzględniały najczęściej działania praw społecznych i ekonomicznych, nie były związane z siłami historycznymi, dzięki którym mogłyby być zrealizowane. Dlatego były tylko marzeniami.

Jednak wśród katolików najczęściej zagadnieniami społecznymi zajmowali się moraliści. Nic dziwnego, że przyczyny zła społecznego były dla nich jedynie przyczynami moralnymi. Twierdzili, że wystarczy ludzi umoralnić: pracodawców uczynić sprawiedliwymi i miłosiernymi, pracowników cierpliwymi i umiarkowanymi — a kwestia społeczna zostanie rozwiązana, nędza zmaleje do granic możliwych. Były to iluzje niebezpieczne. W ustroju niesprawiedliwości społecznej zły i okrutny jest sam ustrój. nie człowiek; dlatego próby jego umoralnienia nie doprowadzą do niczego, jeśli się nie zmieni samego ustroju.

Bardzo często katolicy utożsamiali nędzę klas pracujących z ubóstwem ewangelicznym i w konsekwencji twierdzili. że jest ona koniecznością. Nie potrzeba wyjaśniać, jak wielkim było to niezrozumieniem chrystianizmu Stanowisko takie wzmagało jeszcze niechęć katolików do reform społecznych i walkę z *duchem niepokoju* nurtującym klasę robotniczą. Sytuacja została w jakiś koszmarny sposób odwrócona: religia, zamiast dawać najbardziej ważkie motywy i najwyższe sankcje dla czynnego przeciwstawienia się nędzy i wyzyskowi, zamiast mobilizować do walki ze wszystkim, co jest źródłem niesprawiedliwości społecznej — w pewien sposób sankcjonowała nędzę i wyzysk, broniła nie uciskanych, lecz uciskających.

Klasom wyzyskiwanym — tym wszystkim, których życie niejednokrotnie było tylko męczarnią i ciągłym umieraniem, katolicy tłumaczyli, że los swój powinni znosić z rezygnacją, że religia wymaga, aby ze spokojem cierpieli nędzę własną i najbliższych, aby byli posłuszni tym, którzy ich wyzyskują. Każdy odruch sprzeciwu czy buntu uciemiężonych uznawali za przejaw *ducha rewolucji* i ośmielali się go potępiać rzekomo w imię zasad chrystianizmu. Nie dostrzegali nędzy, widzieli tylko wciąż rosnącą dechrystianizację szerokich rzesz i w niej upatrywali źródło zła społecznego. Było to rozumowanie ludzi dobrze odżywionych.

Czyż religia nie stawała się w ten sposób jakimś narkotykiem? Z całą pewnością nie jest tym w swej istocie, fałszowano ją jednak, czyniono narkotykiem, wbrew jej najistotniejszym zasadom.

Nie jest czymś dziwnym, że klasom wyzyskiwanym sprzykrzył się ten religijny sentymentalizm, ta karykatura chrześcijaństwa. Powoli ugruntowywał się pogląd, że Kościół jest obojętny na ich cierpienia, że jest sprzymierzeńcem klas posiadających i politycznej reakcji. Oczywiście, błędem było, że nie odróżniano praktyki od teorii, że obwiniano nie tylko ludzi, lecz także same zasady, „zawinił" tu jednak realizm, jaki cechuje światopogląd robotniczy i wielkie umiłowanie konkretu. A trzeba stwierdzić: kto inny podjął obronę praw ludzi pokrzywdzonych; w dziele tym katolicy nie wielką mają zasługę.

W pierwszych wiekach chrześcijaństwo zdobyło świat pozyskując uciemiężonych i nędzarzy. W epoce współczesnej poniosło najstraszniejszą klęskę, gdy zaczęło tracić wyzyskiwanych.

Miał słuszność Ketteler, gdy mówił: *„Do tego będzie należeć przyszłość, kto rozwiąże kwestię społeczną"*. Myśmy jej nie rozwiązali: nie należy do nas teraźniejszość. Mamy przed sobą przyszłość. Tej jednak nie zdobędziemy, wygodnie czekając na historię.

*

Jaka jest istotna wartość katolicyzmu dla cywilizacji, w ramach której istnieje?

Czym jest katolicyzm w swej istotnej treści?

Jest on podwójnym zaangażowaniem: zaangażowaniem w wieczności i zaangażowaniem w doczesności: w życiu Boga i w życiu człowieka. Jednak ten dualizm nie jest całkowity. To, co doczesne, nie utożsamia się z tym, co wieczne: nie ma jednak między nimi zupełnego rozdziału.

Katolicyzm jest afirmacją wieczności poprzez pełną afirmację tego, co doczesne. Dlatego jest mu całkowicie obca platońska ucieczka od rzeczywistości, dlatego wymaga wzięcia na siebie pełnej odpowiedzialności za doczesność, za cywilizację, za całą społeczność ludzką, dlatego wymaga pełnego współudziału we wszystkich sprawach ziemi. Jest on do głębi humanistyczny.

Życie wewnętrzne w najmniejszej mierze nie zwalnia katolika od odpowiedzialności za bieg wydarzeń Jeśli chce być katolikiem, musi przyjąć na siebie pełnię odpowiedzialności, wszystkie ciężary i obowiązki, jakie wynikają z faktu jego zaangażowania. Musi wyzwolić w sobie całą dynamikę, przyjmując wobec otaczającego świata postawę jak najbardziej czynną.

Ostatecznie w katolicyzmie wszystko się sprowadza do miłości Boga i miłości człowieka. W tej podwójnej miłości zawiera się cały sens chrystianizmu. Ona właśnie jest zaangażowaniem i pełnią odpowiedzialności. Nie jest jakąś mglistą ideą czy teorią; nie ma w sobie nic z czułostkowości ani sentymentalizmu. Jest twórcza, jest żywa i jak najbardziej rzeczywista.

Katolicy niejednokrotnie gubią właściwy sens tej miłości; nie zdają sobie sprawy, do jakiego stopnia jest rewolucyjna — jest odwróceniem całego porządku; nadaje życiu nowy sens, jego punkt ciężkości przenosi na zewnątrz. Nie ma w sobie nic drobnomieszczańskiego. Jest bezkompromisowa, pełna fermentu i niepokoju. Z żywiołową dynamiką porywa wszystko i skierowuje ku swemu podwojnemu celowi. Najważniejsze: w swej istocie jest ona jak najbardziej społeczna: jest rzeczywistym wzięciem odpowiedzialności za życie wszystkich ludzi.

Nie wystarczy wiedzieć, czym jest miłość. nie wystarczy nawet mieć prawdziwą i najlepszą wolę świadczenia jej i nadawania kształtu. W katolicyzmie miłość ma dwa zasadnicze aspekty: woluntarystyczny i poznawczy. Aby miłość mogła być twórcza — oba muszą być spełnione, tymczasem drugi najczęściej ulega zagubieniu. Ma to niezwykłą doniosłość.

Nie wystarczy mieć dobrą wolę, nie wystarczy kochać bliźniego. Trzeba jeszcze wiedzieć, jak go kochać, trzeba poznać warunki, w jakich ta miłość ma się przejawiać, trzeba zbadać prawa rządzące światem i historią., trzeba stworzyć formy, w których ta miłość w sposób twórczy mogłaby być realizowana. To właśnie jest głównym źródłem społecznych niepowodzeń katolików: nie zdawali oni sobie sprawy, że nie w każdej strukturze może być realizowana skutecznie miłość bliźniego, nie wiedzieli, że jeżeli sama istota struktury społecznej jest zła, to trzeba tę strukturę zmienić na inną, lepszą, inaczej nic nie pomogą największe wysiłki i dobra wola. Miłość bowiem może znaleźć wyraz owocny i twórczy tylko w ramach właściwej struktury społecznej. A takiej struktury się nie wymyśla Buduje się ją w oparciu o konkretne siły społeczne i historyczne. Tego katolicy nie potrafili zrobić i to ma swoje konsekwencje.

Miłość społeczna, jeśli jest pełna. konsekwentna, jeśli jest realizowana we wszystkich swych aspektach, czyni katolika jednostką wartościową dla społeczeństwa, w którym żyje. Sprawia ona, że całe jego życie zostaje przekształcone w silny nurt i skierowane ku pracy nad ziemskim wyzwoleniem człowieka.

*

Świat burżuazyjny chyli się do upadku, kapitalizm coraz szybciej ulega rozkładowi. Zarysowuje się już świat nowy, tworzony przez klasę robotniczą.

Nie chcemy teoretyzować ani operować alfrakcjami. Żyjemy w konkretnej rzeczywistości. Dlatego stawiamy pytanie: jaka jest wartość katolicyzmu dla ustroju socjalistycznego, dla nowej epoki socjalizmu?

Dla wielu jest to pytanie przedwczesne. Wielu zastanawia się jeszcze, czy w ogóle Kościół może istnieć w państwie socjalistycznym. Dostateczną na to odpowiedź daje sama rzeczywistość, daje teraźniejszość, da ją przyszłość. Kościół istnieje w państwie budującym socjalizm i będzie istniał w państwie socjalistycznym — jednak na pewno nie dzięki wszystkim niepewnym, chwiejnym i czekającym.

Ci, dla których jest to problemem, nie rozumieją, że katolicyzm jest uniwersalistyczny, a nie rozumieć jego uniwersalizmu — znaczy w ogóle go nie rozumieć.

Oczywiście, w ustroju socjalistycznym nie ma miejsca na katolicyzm epoki kapitalizmu czy czasów feudalnych. Dlatego z katolicyzmu musi być usunięte wszystko, co było tylko konformizmem i przystosowaniem, a co dziś jest już martwe. Muszą zniknąć przestarzałe uwarunkowania historyczne, zostać zatarte ślady wielowiekowego współżycia z minionymi epokami, przecięte powiązania ze światem kapitalistycznym. Przemiany te niejednokrotnie są bolesne, zawsze jednak twórcze.

Pamiętać trzeba jedno: w ustroju kapitalistycznym katolicyzm może istnieć pod warunkiem, że zdradza własne zasady. W świecie socjalistycznym może istnieć tylko wtedy, gdy swym zasadom będzie wierny. To jest najistotniejsze. To zarazem jest źródłem naszego optymizmu.

Co mamy wspólnego z nowym porządkiem, co nas z nim łączy? — Człowiek: tu się schodzimy Miłość człowieka: to płaszczyzna, na której spotykamy się z obozem socjalizmu. To bardzo wiele. To pozwala nam wierzyć, że w ramach nowego porządku katolicyzm stanie się bardziej twórczy, pełniej ujawni swą prawdziwą treść.

Konieczny jest jednak nasz największy wysiłek w realizacji niezmiennych zasad chrystianizmu; miłość społeczna musi odzyskać nie tylko swą właściwą treść, ale zdobyć siłę faktów, kształt konkretnej rzeczywistości. Nie wystarczają teraz teorie ani dowody rozumowe. Apologetyka jest już bezsilna. Jedynymi sprawdzianami są fakty i wydarzenia. Tylko ich świadectwo jest uznawane. Takie też argumenty musi pozyskać prawdziwość naszych przekonań. Naszej wierze trzeba dać żywe świadectwo.

Nasz katolicyzm nie może być zawieszony w powietrzu. Miłość społeczna musi być urzeczywistniana w obydwu swych aspektach: wo-

(Dokończenie na str. 7)

SŁAWOMIR BŁAUT

PIĘKNO CZŁOWIECZEŃSTWA

KU DRODZE SPEŁNIEŃ

Cokolwiek by można powiedzieć o ciągłości rozwoju świadomości artystycznej autora „Lata" i „Ginącego Daniela", „Niekochanej" i „Szekspira", o istotnych związkach, jakie łączą utwory powstałe w różnych latach, w różnym klimacie, o dających się od początku dostrzec tendencjach, którym w pełni ujawnić się przyszło znacznie później — data września roku 1939 ma w sobie coś z przełomu w twórczości Adolfa Rudnickiego, zamyka jedną fazę jego pisarstwa, wprowadza w następną.

Był Rudnicki już przed wojną autorem pięciu książek, książek ciekawych, inteligentnych, „obiecujących". Wśród pisarzy ówczesnego młodego pokolenia zdobyły one poważną pozycję, pozwalały wiązać z nim nadzieje, „oczekiwać". Wybuch wojny, której lata tak wiele w twórczości Rudnickiego zmieniły, zastał go jeszcze jako pisarza obietnic, nie zaś spełnień. Jednocześnie wyrwał go z lekkiego jakby odrętwienia, przebudził i przywołał na plan pierwszy te jego dyspozycje twórcze, które dotąd albo rzadko dochodziły do głosu, albo też były na pół uśpione. Przedwojennym książkom brak było ostrych napięć moralnych, brak wielkiej, przenikającej je i ożywiającej idei. Cieszyło pisarza niezmierzone bogactwo świata, obfitość i złożoność zjawisk, jakie w człowieku i w przyrodzie zachodzą; wobec tych wszystkich wspaniałości sztuka może być nieudolnym tylko, ułamkowym przekazem. Podziwiał mnogość i odmienność ludzkich losów, charakterów, uczuć, przeżyć, reakcji; każdy jego bohater — a jest ich bardzo wielu — obdarzony zostaje własnym życiem wewnętrznym, wyróżniającym go od innych porządkiem psychicznym, którego specyfikę odkrywa w jednym, krótkim błysku oświetlającym całą sylwetkę. Pochylając się nad człowiekiem wydobywa jakąś jego właściwość, która nakazuje głęboki szacunek dla jego wewnętrznego bogactwa, dla jego ludzkiej godności. A nie wybiera psychik szczególnie skomplikowanych czy udziwnionych, przeciwnie: przez „Lato", „Żołnierzy", „Profile i drobiazgi" przechodzą ludzie zwykli, niepozorni, przeciętni, i w zwykłych, codziennych sprawach odsłania pisarz ich wielkość i odmienność, zasługujące na podziw i szacunek. Bogactwo ludzkiego wnętrza pokazane jest w sieci powiązań ze światem zewnętrznym, z czasem, przyrodą, z innymi ludźmi, środowiskiem; gra świateł, barw, nastrojów sprzyja wniknięciu w ludzkie tajemnice, uchwyceniu nieznanej dotąd wartości obserwowanego człowieka.

W wiele lat później napisze Rudnicki, że sztuka powinna być przyjacielem człowieka. Czy była nim już przedwojenna twórczość autora „Lata"? Była przyjazna człowiekowi — to pewne, ale nie była jeszcze jego przyjacielem w tym pełnym znaczeniu, jakie zostało w tym słowie zawarte. Dla człowieka i jego spraw miał Rudnicki ciekawość i podziw, miał uczucie zbyt może platonicznej przyjaźni i uległości olśnionego obserwatora — i za to postawi siebie i swą sztukę w stan oskarżenia. Wytrwale szukając własnej drogi, wstępował na szlaki peryferyjne, ulegał odkryciom swej pasji poznawczej, nurzał się w drobiazgach, pieścił je czule, smakował; długo nie mógł trafić na właściwy dla siebie ton. Jego pisarstwo — wbrew może intencjom — płynęło obok historii. Dopiero czas wojenno - okupacyjnych doświadczeń dokonał przemiany: sztuka pisarska Adolfa Rudnickiego płynie poprzez historię. Wstępuje na drogę spełnień.

CZAS WIELKIEJ PRZEMIANY

W swych opowiadaniach, objętych cyklem „Epoka pieców", Rudnicki wiele mówi o sztuce. Niekoniecznie nieraz, niespokojnie, czasem wręcz napastliwie — nie szczędzi ni siebie, ni innych — ale szczerze; nie kryje się z tym, że nie jest mu to obojętne. że leży mu to na sercu, że go mocno obchodzi, męczy, gryzie. Sztuka — temat dotykany dotąd okazyjnie, przypadkowo, marginalnie — staje się nagle sprawą naczelną jego twórczości, sprawą, do której wielokrotnie powraca, która ciągle jest nierozstrzygnięta i niewyczerpana. Ale z wielu rozsianych po całym cyklu uwag, myśli, przypuszczeń, zwątpień i pewników nie podobna złożyć zwartego, skodyfikowanego programu pisarskiego. Rudnicki raz, zdaje się, już dosięga tego, czego tak uporczywie poszukiwał. cieszy się radością odkrycia, zdumiewa się jego prostotą — to znów traci dopiero co zdobytą pewność, widzi sprawy w ich nagłym skomplikowaniu, jest w rozterce, kuszą go inne — zaprzeczające poprzednim — ustalenia. „Epoka pieców" to epos tragiczny o czasach pogardy, ale to także wielki monolog wewnętrzny o sztuce, ciągła i jawna dyskusja z samym sobą, w której ostatnie słowo nie zostało jeszcze wypowiedziane. Tak więc trudno mówić o programie pisarskim, skoro jest on czymś jeszcze nieukształtowanym, płynnym; można jednak wskazać na pewne ogólne kierunkowe, które — mimo tych czy innych wahań — wydają się znamienne dla reprezentowanej w cyklu postawy pisarza, na których wznosi się jego dzieło.

Adolf Rudnicki Fot. Dorys

Swą przedwojenną twórczość — a także twórczość swej generacji — ocenia Rudnicki bardzo surowo, znacznie surowiej niż „najsroższi" jego krytycy. Powszechnie wiadomo, że pisarz nader rzadko jest sprawiedliwym sędzią własnego dzieła, że mówiąc o nim często ma na myśli jego zamierzony, nie zaś dokonany kształt. Ale sąd pisarza o sobie — choćby traktować go nieufnie, choćby się z nim nie godzić — nigdy nie jest dla czytelnika i krytyka obojętny, rzuca bowiem bardzo nieraz ciekawe światło i na dzieło, i na osobę autora. mówi czasem wiele o tym, co się w nim dzieje, kłębi się, zmienia. Jest w naszej literaturze utwór jedyny w swoim rodzaju, utwór szczery i gwałtowny, utwór-wyznanie i utwór-testament. Wyznanie i testament pisarza, który odkrywa przerażającą małość własnego dzieła wobec tragicznej wielkości czasów, w których żyje, rozpaczliwy krzyk człowieka dławionego śmiercią. To „Kartka znaleziona pod murami straceń" Aoolfa Rudnickiego, niewielkie, lecz wstrząsające swym autentyzmem psychologicznym opowiadanie z „Epoki pieców". Gorąca niezgoda na siebie, na własne dzieło, w którym — choć powstało tak niedawno — nie ma nic z prawdy ani o sprawach epoki, ani o autorze, o jego myślach, uczuciach, marzeniach i zamiarach. Lęk przed śmiercią, która kiedyś może nadejść w każdej chwili i położyć bezpowrotnie kres tym nigdy nie wyrażonym myślom, uczuciom, marzeniom i zamiarom; lęk i protest przeciw temu, że mówić o pisarzu będzie jedynie dzieło najzupełniej mu obce. Na tym miejscu nie wchodzę w meritum sądu Rudnickiego o swej przedwojennej twórczości — sądu na pewno zbyt surowego, zbyt ostrego — bo jest to w „Kartce znalezionej pod murem straceń" rzecz wtórna i próba obrony autora przed nim samym wydaje się bezcelowa choćby z tego względu, że obecnie i on nie podziela wypowiedzianej wówczas oceny. Chodzi mi o co innego: mianowicie, to opowiadanie doskonale oddaje ów klimat niezwykle silnych napięć muralnych, w jakim dokonywała się przemiana postawy pisarskiej Rudnickiego, owo przemożne ciśnienie historii na jego twórczość, historii, do której twórczość ta musi być przymierzana, ową stale odtąd niepokojącą pisarza — antynomię dokonań i obowiązków, niewspółmierność sztuki i rzeczywistości. Ta właśnie antynomia jest jednym z tych problemów, które w dziele Rudnickiego żyją, nie dają spokoju, dręczą, powracają w innej postaci, w innej oprawie sytuacyjnej, w odmiennym uwarunkowaniu, ale w tej samej wspólnej podstawowej sprzeczności. Jej wątłą i daleką jeszcze zapowiedź znajdziemy w „Lecie", w rzuconej mimochodem uwadze, że „malarstwo już dawno zrezygnowało z rywalizacji z wieczorem i nocą, literaturę czekają tu nielepsze rezultaty" — jej upostaciowanie w pełnowymiarowy konflikt — w „Szekspirze" i „Ignasiu Lęku", gdzie bohaterowie — w obu wypadkach pisarze — stoją przed dylematem wielkiego potencjału przeżytych i widzianych spraw, którym sumienie pisarza nakazuje dać właściwy wyraz, i obezwładnienia, niemocy twórczej — i gdzie jednego z nich spotyka to, czego tak obawiał się autor w „Kartce znalezionej pod murem straceń" — że jego książki przekażą „obraz świata i obraz człowieka, z którymi autor się nie zgadzał, i to w noc przed śmiercią".

WSPÓŁBRZMIENIE Z HISTORIĄ

Lata wojny przynoszą Rudnickiemu „wtajemniczenia w historię" i wtajemniczenia w sztukę. Pisarz — postawiony przez dziejowy kataklizm wobec spraw ostatecznych — odkrywa wzajemną współzależność sztuki i historii, potrzebę ich „współbrzmienia" pojętą jako podstawowe zobowiązanie moralne artysty. Nazwie sztukę — najwyższą legitymacją istnienia i sensu świata, przyzna jej nadrzędną władzę sądzenia. wymiaru ostatecznej sprawiedliwości ludziom i czasom. Nic też dziwnego, że tak wyeksponowana pozycja sztuki w świecie, w którym wszystkie sprawy ludzkie znajdują zasadniczo swój kres w porządku doczesnym — mocno zarysuje problem odpowiedzialności pisarza. „Istnieje stara legenda, wedle której grzechy każdego pokolenia są tak wielkie, że Bóg raz po raz chce skończyć ze światem. Powstrzymują go od tego sprawiedliwi, których na pokolenie przypada dwóch, trzech. To ich zasługa, iż życie nie gaśnie, tych dwóch, trzech sprawiedliwych, których nikt nie zna. Proroków już dawno nie ma. Ale proszę, proszę was. wskażcie mi pisarza, w którym legenda ta nie

(Dokończenie na str. 4)

WANDA URSTEIN

Polemika

PROBLEM ODNALEZIONEGO KAPŁAŃSTWA

*CZYTAJĄC recenzję Zygmunta Lichniaka z tłumaczonej przeze mnie książki Daniel Pezerila „Uliczka Notre Dame", z wrastającym zdumieniem uświadamiałam sobie, jak zupełnie inaczej niż ja odczytał on centralną postać książki, którą jest stary ks. Serrurier *).*

Kanonik Serrurier to bez wątpienia człowiek mimo późnego wieku niezwykle inteligentny, żywotny, o dużym poczuciu humoru i — co więcej — nie byle jakiej odwadze przekonań. Cechy te zresztą warunkują i umożliwiają całą jego późniejszą, wstrząsającą i głęboką przemianę duchową.

I nie o to zamierzam sprzeczać się z Lichniakiem — w tym bowiem punkcie zgadzamy się znakomicie. Chodzi mi natomiast o postać kanonika w chwili, kiedy go poznajemy! I tu drogi nasze rozchodzą się zupełnie. Wbrew pochwałom, jakich nie szczędzi mu Zygmunt Lichniak i zaletom, jakie mu przypisuje — moim zdaniem ks. Serrurier z pierwszych kart swego pamiętnika to stary, złośliwy egoista, „mający za złe" władzom kościelnym, iż mimo jego zażartego oporu zmusiły go do opuszczenia intratnej posady, jaką było proboszczostwo w Sainte Julie, którego jedyną ambicją jest przeżyć wszystkich współkolegów a jedyną troską — własne bóle pęcherza i jakość potraw przygotowywanych przez Adelę.

Kanonik George Serrurier „usadowiwszy wygodnie swoje 80 lat" w stalli, na którą wsadzono go siłą, czuje się właściwie zupełnie zadowolony Z wrodzoną bystrością i nie pozbawionym złośliwości zmysłem humoru obserwuje życie i dolegliwości swych towarzyszy, a ponieważ zbyt jest jeszcze żywotny, by oddać się zupełnemu lenistwu, przemyśliwa nad opracowaniem dokładnych przepisów życia codziennego dla przyszłych mieszkańców Kanonii.

Od czasu do czasu uszu jego dochodzą nowatorskie pomysły rodzące się w arcybiskupstwie a dotyczące np. ograniczenia dochodów proboszczów czy sprawy opieki nad wikarymi. Wieści te budzą w nim niekłamane oburzenie. Jakże bowiem on sam żyłby obecnie, gdyby nie pokaźne oszczędności, które wywiózł z Sainte Julie? A to, że wikarzy żyją w nędzy — to ich prawo — „bieda nikomu nie zaszkodziła" wyrokuje starzec, oczywiście pod warunkiem, by ominęła jego samego.

Nagle i niespodziewanie w spokojne życie starego kanonika wkracza Robert, młody, żarliwy ksiądz-społecznik, który zwraca się do niego z prośbą o opiekę duchową.

Ks. Serrurier przejęty dumą i zadowoleniem, w którym niemałą rolę odgrywa fakt, że młody Robert przeniósł jego osobę ponad pierwszego swego opiekuna a kolegę naszego bohatera — kanonika Delmas, zabiera się do pracy nad swoim wychowankiem. Bardzo szybko orientuje się z przerażeniem, że z chwilą, gdy przestaje powtarzać mu nauki zasłyszane jeszcze w czasie studiów w seminarium, nie posiada absolutnie nic własnego, co mógłby mu ofiarować. Wstrząs jest równie silny jak niespodziewany. Ale starzec nie kapituluje. Musi rozwikłać tajemnicę niepokojącej rzeczywistości, wobec której postawiło go życie. Z godną najwyższego szacunku odwagą wyrusza więc w swoją, jak mówi, „ostatnią i najbardziej przerażającą przygodę" i przeprowadza dokładną i bezwzględną analizę 50 lat własnej pracy duszpasterskiej. Potrącona niebacznie sprężynka kalejdoskopu, nad którym pochyla się starzec, sprawia, że uporządkowany i statyczny obraz dawnych przekonań i pojęć rozpada się w gruzy. Przed oczyma ks. Serrurier, fragment po fragmencie, wyłania się z chaosu prawdziwy a jednocześnie przerażający obraz życia proboszcza z Sainte Julie.

„...a w kapłaństwie jego nie ma nic z urzędniczenia, z administrowania duszami, z biurochrystianizmu" — pisze Lichniak.

Czy naprawdę? Zajrzyjmy do kart pamiętnika.

*— „Po cóż by, na dobrą sprawę, miał (szatan) wprowadzać zamieszanie we wspaniałe koncerty, jakimi były moje sumy o godz. 11-ej? — woła z rozpaczą kanonik Serrurier — dlaczego miałby tracić czas na paraliżowanie mojej znakomitej administracji? **Pochłaniała przecież całe moje serce** (podkr. moje), a on chciał, bym ją kochał". „Przez trzydzieści lat byłem wyłącznie urzędnikiem" — powie dalej, by wreszcie w obliczu nadchodzącej śmierci wołać do ukochanego Roberta: „Mój drogi, byłem tylko proboszczem urzędnikiem. Chyba nic tak nie przypomina piekła, jak taki... Jakże odrobić teraz całe życie, kiedy ogień czuję w krtani a popiół na wargach?"*

„Jest miłości bliźniego pełen" — powiada Lichniak.

Dziwna to jakaś miłość bliźniego, która pozwala proboszczowi z Sainte Julie łamać wewnętrznie młodych wikarych, która dopuszcza do oczerniania ich w oczach władz kościelnych zbyt pochopnymi raportami, która dalej sprawia, że przez 30 lat pracy w parafii znajduje dla kobiety wynajmującej krzesła tylko kilka słów, zawsze jednakowo pogardliwych. Nie wydaje się, doprawdy, wyznawać zasady miłości bliźniego ksiądz, który w swojej wstrząsającej spowiedzi wyznaje, że przez skąpstwo dopuścił do śmierci syna swego dozorcy, że malego Murzynka uczęszczającego na przygotowanie do pierwszej Komunii świętej nazwał „czarną pokraką", a wreszcie pozwolił, by kolega jego umarł bez sakramentów świętych.

„Cenimy w kanoniku Serrurier gorącą treść jego wiary" — pisze Lichniak i stwierdza dalej: „Jednocześnie (ks. Serrurier) imponuje ważkością, antyfideistyczną realnością swoich przeżyć religijnych".

I znowu pozwolę sobie powołać się na słowa starego kanonika: „Jakimże barbarzyńcą byłem w okresie mojej pracy w Sainte Julie! Jeszcze dziś widzę, jak przemierzam korzytarz w obawie przed zaśnięciem i połykam **oremus z benedicamus Domino,** *patrząc ciągle na zegarek. Musiałem przecież pomiędzy dwie pozycje wskazówek wcisnąć jedną nonę, sekstę czy kompletę. ...Dziś rozumiem, ile w tym było służalczego lęku, obrzydliwej formalistyki i bezgranicznej pustki duchowej..." „Kapłaństwo to przecież małżeństwo mistyczne — powie kiedy indziej — musi więc być płodne. Na sobie stwierdziłem, że kapłan, który utraci tę nieodzowną dla siebie moc, przestaje żyć, staje się tak martwy, jak martwy jestem ja sam".*

Dopiero młody Robert pozwala kanonikowi zrozumieć, że Kościół żyje, że trwa w sercach prostych ludzi, że oni właśnie posiadają skarb, który zagubili ci, co uczęszczali na sumę odprawianą przez proboszcza w Sainte Julie i „coś w parafii znaczyli" — skarb wiary. Robert to sprawił, że kanonik Serrurier, dla którego Adela była tylko starą, idiotką dobrze gotującą, zainteresował się nią jako członkiem Kościoła, że dalej spostrzegł godność ludzką w „motłochu i pospólstwie", a głęboka przemiana wewnętrzna, jaka pod jego wpływem dokonuje się w starcu sprawia, że z głębi serca wyrywa mu się wreszcie okrzyk zupełnego poddania się Bogu.

I dlatego nie zgadzam się z Lichniakiem i w drugim punkcie jego recenzji, w którym problem naczelny książki określa on jako „problem przeobrażającego się w historii współczesnych ruchów społecznych typu kapłana wiernego misji apostolatu wśród klas walczących o społeczną sprawiedliwość". Mnie się wydaje, że Daniel Pezeril poprzez życie i sylwetkę duchową swego bohatera chciał pokazać nam, do jakiego stanu wynaturzenia doszło w ustroju kapitalistycznym duchowieństwo francuskie, które dochowując wiernie form liturgicznych zagubiło najgłębszy sens kapłaństwa, jakim jest jego charakter apostolski i związek z masami wiernych. Kanonik Serrurier nie jest przecież człowiekiem złym. Przeciwnie, po ukończeniu seminarium pragnął zbawiać dusze ludzkie i prowadzić je ku Bogu, szukał jak umiał drogi, która najskuteczniej pozwoliłaby mu „ukochać Boga nade uszystko". Ale ustrój, w którym żył i działał, żądał od niego tylko blichtru i formy — treść bowiem dawno przestała być dla niego istotna. I tak, nie wiedząc nawet kiedy, stary ksiądz zagubił na swej drodze to, co było na niej najważniejsze Toteż jego rewolucja duchowa, której przebieg trzyma w napięciu każdego czytelnika tej pięknej i mądrej książki, to nie tylko „olśnienie zrozumieniem nowych prawd", jak chce Lichniak, choć oczywiście i ten moment odgrywa w niej swoją rolę, ale przede wszystkim i nade wszystko „olśnienie zrozumieniem" prawd jak najbardziej starych, stanowiących najbłębszą istotę katolicyzmu a wyrażonych w nakazie miłości bliźniego i służebnej postawie wobec wszystkich ludzi.

Wydaje mi się, że wielkość bohatera „Uliczki Notre Dame" polega na tym, że ów stojący nad grobem starzec miał odwagę, w olbrzymim wysiłku poszukiwania prawdy, poddać bezwzględnej krytyce całą swoją przeszłość, a stanąwszy wobec wstrząsającego nim do głębi zrozumienia egoizmu i małości swego dawnego życia, ostatnim zrywem gasnących sił choć w części odkupić swoją winę.

A największą wartością książki Daniel Pezerila jest bez wątpienia owe głośne S.O.S., które autor, sam duchowny i proboszcz jednej z parafii Paryża, rzuca duchowieństwu katolickiemu naszych czasów ukazując mu przerażający obraz ślepego zaułka, w jaki zapędzić może księdza ucieczka przed wprowadzeniem zasad katolicyzmu w życie społeczne, wzywając go jednocześnie do rozpalenia w swym sercu żaru prawdziwego kapłaństwa.

*) Recenzja zamieszczona w nr 27 (449) „Dziś i Jutro" z dn. 4 lipca br. (przyp. red.).

ANDRZEJ PIOTROWSKI

Piosenka o porządku nadziei

Kwiaty głosu więdły i bardziej
pożegnanie bolało, gdy kasztan
żółkł zostawiony w marszu
niepotrzebnie poległy towarzysz.

Krwawił bukiet i szarzał prędki
wrzesień niebem rozwichrzonym szedł,
ciążyła nadzieja rękom,
mało wiary dla oczu — i łez.

Skupiony za blisko patrzył
przez amarant wyłogów, a hełm
ustrzegł ciszę głowy, na zawsze
uspokoił na trwanie i cień.

Powtórnie znaczący odwrót
wyrok miłości spełnił.
Odmienił linie zawodnie,
kruchy porządek nadziei.

Piękno człowieczeństwa

(Dokończenie ze str. 3)

budzi tajemnej, drżącej, szalonej, radosnej, jedynej nadziei!... („Piękna sztuka pisania"). Od pisarzy zawisa więc przyszłość świata. Na nich spoczywa odpowiedzialność za człowieka i—za historię. Musi więc sztuka zdać egzamin z tego, czym jest: ze swej przyjaźni wobec człowieka, przyjaźni rozumianej jako służba i walka o jego podstawowe prawa biologiczne i moralne, o piękno społeczeństwa. Współbrzmienie z historią, wypływające stąd obowiązki są fundamentem twórczych osiągnięć, dają życie powstającym dziełom — „tylko ci, którzy godzą się na służbę, są szczęśliwi w sztuce". Ale — jak już wspomniałem — Rudnicki jest pisarzem sprzeczności i w swym dziele nie wypowiada oczywistych dla siebie sądów o sztuce, nie pisze uczonego traktatu, w którym poszczególne ogniwa myślowe przylegały ściśle do siebie, lecz prowadzi zażartą, namiętną dyskusję, w której padają głosy przeciwstawne, ścierają, kłócą ze sobą — myślę, że jest to naturalne u pisarza, który poszukuje drogi prawdziwej i stale sprawdza słuszność dokonanego wyboru i wierność wymogom pięknej sztuki pisania. Z jednej strony powstaje wołanie o sztukę wrażliwą na historię, poddającą ją ocenie moralnej — z drugiej nierzadko w opowiadaniach Rudnickiego spotkać można myśl, że sztuka to jednak żywioł kapryśny, irracjonalny, że nie podaje się woli artysty, jest niezależna i niepodległa. Dylemat moralnego obowiązku dania świadectwa przeżytym czasom i kapryśności sztuki, która odpływa wtedy, gdy się ją najbardziej gorąco przywołuje — to nie tylko jeden z powtarzalnych problemów w twórczości Adolfa Rudnickiego; pisarz doświadcza go również niejako na własnej skórze, czego dowodem — „Pałeczka", gdzie wyraźnie widać kolizję między afirmowanymi poprzednio założeniami a powieściowym konfliktem, gdzie autor ulega chwilowemu przypływowi niepewności, zwątpienia. Jest to utwór spoza cyklu „Epoka pieców" i choć komplikuje nam i mąci pojęcie o dziele i pisarzu, wskazując, jak wiele w nim niekonsekwencji i pogmatwań — linia generalna tej twórczości, jej profil ideowy, pozostaje nadal wyraźny, niezmieniony. Już po „Pałeczce", w „Ignasiu Lęku" powie Rudnicki, że „im większe ciężary bierzemy na siebie, tym łatwiej objawia nam się sztuka, i to w najdelikatniejszej, jak i najbardziej monumentalnej formie", i powróci do porzuconego ciężaru dziejów.

Są sprawy, o których sztuka milczeć nie powinna. Rudnicki uporczywie patrzy na dzieje minione już i zamknięte, a tak niedawne, i mówi o nich, nie może przestać o nich mówić. Nazywano to — niezbyt chyba szczęśliwie — obsesją. Niezbyt szczęśliwie, bo nie dlatego przywołuje okrutną przeszłość, by znajdował w niej szczególne upodobanie, by specjalnie w niej zasmakował. „Epoka pieców" nie pozwala od siebie odejść, przyciąga, przykuwa go niezwykłym natężeniem nieludzkiego stosunku do człowieka, najwyższym zagrożeniem jego podstawowych praw, poddaniem całej ludzkości i każdego człowieka wielkiej, ostatecznej próbie. Podejmuje Rudnicki „niemy testament" tych, którzy zginęli, i pisze o tym, co było, o tragicznym losie ludzi zaszczutych przez faszyzm, uwikłanych w nierówną walkę o własne życie i własną godność, o odmówione im prawo istnienia; pisze po to, by oddać im sprawiedliwość.

Tego, cośmy przeżyli i widzieli w czasie okupacji, zapomnieć nie wolno. Nie wolno przede wszystkim pisarzowi, który był świadkiem „ukrzyżowania świata" i śmierci milionów. Który widział „apokalipsę" i który ocalał. Nie wolno zapomnieć, bo nie wolno dopuścić do tego, by raz jeszcze zatriumfował faszyzm, by znów zadymiły piece krematoryjne. Żeby wiedza o czasach nienawiści trwała poprzez pokolenia, żeby nie zatarła się w ludzkiej pamięci — nie powinno zabraknąć głosu pisarza — przecież „ludzie i dzieje, by nie zblakły, wymagają utrwalenia przez sztukę". Dlatego Rudnicki tkwi w „Epoce pieców", mówi wciąż o niej i chce, by jego głos był „głosem przestrogi" i głosem nadziei, który dotrze do ludzkich sumień.

SUMIENIE I URODA NARODU

„WE Lwowie bolszewicy otworzyli mi oczy na to, że w hierarchii narodowej pisarze stoją na samej górze. Zwrócili mi uwagę na to, czym jest pisarz — sumieniem i urodą narodu." („Pierścień"). Prawda i piękno, sumienie i uroda — to winno zawierać się w sztuce, zespalać w jedno, o to woła Rudnicki wielokrotnie. Naród to dla pisarza źródło twórczej siły, pobudzające jego aktywność, a jednocześnie przedmiot umiłowania i troski. Pisarz przejęty sprawami swego narodu jest głosem jego sumienia, czuwa nad nim, powinien wraz ze swym narodem walczyć o sprawiedliwość albo też sam — o naród sprawiedliwy. W „Epoce pieców" są dwa utwory stawiające problem odejścia pisarza od narodu. W „Wielkim Stefanie Koneckim" bohater wypiera się narodu z lęku o siebie, nie chcąc wziąć na siebie jego cierpień i współodpowiedzialności za jego los. W „Ucieczce z Jasnej Polany" odwrotnie: bohater odchodzi po to, by walczyć o oblicze moralne narodu, przywrócić mu utraconą godność.

Potrzeba sprawiedliwości jest naczelną przesłanką moralną pisarstwa Adolfa Rudnickiego. Nasza wiedza o konkretnym człowieku, jakiej dostarcza nam zewnętrzne zaznajomienie się z jego postępowaniem, nie wystarcza, by go sprawiedliwie osądzić. Stwierdzona dysharmonia między tym, co się obiektywizuje w ludzkich dokonaniach i niedokonaniach, a tym, co tkwi — często z różnych przyczyn nieujawnione — w ludzkiej psychice — dyktuje pisarzowi zwrot ku wnętrzu prezentowanych postaci, których czyny zyskują w ten sposób pełniejsze oświetlenie. Nie znajdując w świecie zewnętrznym potwierdzenia dla prawdy wewnętrznej, tym silniej wgryza się w głąb człowieka. Świat przedstawiony w opowiadaniach Rudnickiego nie wychodzi — jak się rzekło — poza porządek doczesny, ale autor „Ginącego Daniela" nie może odszukać w nim właściwej miary dla ludzkich spraw, nie umie dać im definitywnego wyjaśnienia, ich ostateczna racja pozostaje niewiadoma. Pisarz tęskni za nią i znajduje pewną namiastkę w sztuce, w przyznaniu jej nadrzędnej władzy sądzenia, w zaufaniu w jej sprawiedliwość prostującą wyroki historii; sztuka powinna utrwalić — jeśli wyjaśnić się nie da — ową „gorzką resztę", jaką pozostawia życie.

LĘK MINIONEJ NOCY

DLA wielkiej zbrodni, jakiej faszyzm dokonał na narodzie żydowskim znajduje Rudnicki jedno tylko określenie: apokalipsa. Słowem tym wskazuje nie tyle na pozaludzkie źródło czy pozaludzki sens cierpień swego narodu, cierpień umęczonej przez faszyzm ludzkości, ile na ich olbrzymie natężenie, daleko przekraczające granice człowieczego doświadczenia. Ale zjawia się tu i ton katastroficzny: niszcząca siła szaleńczej idei, która mieniła się mitem naszego wieku, dojrzewająca w ogniu pieców krematoryjnych — wydaje się tak potężna, że powstaje przekonanie o niemożności skutecznego przeciwstawiania się jej, o nieuchronności powszechnej zagłady, spod której wymknąć się nie można. Pisano o tym już sporo — i słusznie — jako o skażeniu realistycznego obrazu idealistycznym widzeniem historii, pesymizmem historycznym, sądzę jednak, że warto przez chwilę zatrzymać się nad tymi wartościami poznawczymi — a jest ich niemało — jakie oparły się w „Epoce pieców" błędnej historiozofii.

Faszyzm, jak wiadomo, posiadł sztukę dzielenia w stopniu niemałym. Sprawdza się to na przykładzie bohaterów wielu opowiadań Rudnickiego, ludzi obezwładnionych, porażonych zagładą, osamotnionych. Opuszczeni przez wszystkich, znajdując oparcie tylko w sobie, muszą przegrać; wynik spotkania się jednostki ludzkiej z wrogim jej systemem wyniszczenia jest z góry przesądzony, pojedyncze wysiłki gubią się, rozpraszają, skazane na niepowodzenie. Faszyzm jest potężny, ma wielu sojuszników — rozumują bohaterowie Rudnickiego — nie ma co nawet myśleć o podcięciu jego korzeni, o przeciwdziałaniu, można tylko się przed nim bronić, ochronić przed nim własne wnętrze, nie ugiąć się. Kierują nimi pobudki szlachetne, uda im się odnieść czasem — pyrrusowe, bo pośmiertne — zwycięstwo moralne, ale tak minimalistycznie zakreślony program walki — walki nieraz już tylko o ludzką śmierć, o jej godne przyjęcie, walki o sprawę własną, osobistą, nie zaś wspólną — jest zupełnie bezskuteczny: nie robi żadnej szkody systemowi, w który winien być wymierzony. I największy tragizm dzieła Rudnickiego widzę w nieuniknionej a bezpłodnej śmierci osamotnionego człowieka, którego stać tylko na bezsilny gest protestu. Mylna historiozofia Rudnickiego opiera się, jak się zdaje, na nieprawidłowo przeprowadzonym uogólnieniu dostrzeżonej bezradności jednostki wobec faszyzmu i przypisaniu mu absolutnej ważności. Zresztą postawa wielu bohaterów „Epoki pieców" zostaje trafnie stypizowana jako ostateczna klęska postawy indywidualistyczno - inteligenckiej, a była ona na tyle powszechnie spotykana, by ją utrwalić; niepokoi natomiast jej wyłączność: wprawdzie faszyzm, jak wyżej napisałem, posiadł sztukę dzielenia, ale jego przeciwnicy znają przecież umiejętność łączenia wspólnych wysiłków w walce o sprawy wspólne. Tego w dotychczasowym dziele Rudnickiego nie ma, ale pamiętać trzeba, że jest ono nie ukończone i że proporcje mogą jeszcze zostać wyrównane.

O PIĘKNO CZŁOWIECZEŃSTWA

JUŻ na wstępie „Epoki pieców", w najwcześniejszym opowiadaniu („Józefów"), jakie cykl ten obejmuje, sformułowana zostaje zasada etyczna, która odtąd obowiązywać będzie w kreowanym przez pisarza świecie. Tam właśnie o ludziach, którzy poszli walczyć w czerwonej Hiszpanii, powie Rudnicki, że „...tkwili w stałej gotowości płacenia pełną stawką za dekalog praw, za który gdy się płacić nie chce, nie jest się godnym miana człowieka". W „Józefowie" tę zasadę potwierdzają dzieje młodego komunisty, Joela, który otwiera długi szereg bohaterów Rudnickiego dążących — w obronie ludzkiej godności — do tego, aby nadać życiu sens odmienny niż wyznaczony im przez istniejącą sytuację historyczną. Bo choć układ świata w dziele Rudnickiego komplikuje się później i gmatwa, a racje kierujące postępowaniem bohaterów stają się bardziej złożone — miara ludzkiej godności pozostaje niewzruszona. „Trwalszy od wszystkiego, tak trwały jak pamięć ludzka, jest obraz ładnego człowieczeństwa. Gdy okrutna noc historii zgasiła w nas po kolei wszystko, co ładne, i staliśmy się jak zwierzęta, pamięć o pięknym człowieczeństwie, choć osłabiona, przecież towarzyszyła nam po sam kres" — czytamy w powstałym już po wojnie „Majorze Hubercie z armii Andersa". Obraz pięknego człowieczeństwa, a raczej poszukiwanie go — poszukiwanie po to, by nie zwątpić w sens i wartość życia — przewijać się będzie przez cały cykl.

Historia brutalnie sprawdza wartość człowieczeństwa bohaterów Rudnickiego; troska o to, by zachować się godnie, w sytuacjach, w jakich ci ludzie nieraz się znajdują, staje się źródłem tragicznych powikłań, nie dających się rozstrzygnąć konfliktów. Bo świat „Epoki pieców" jest tragiczny. Pisarz — jak się rzekło — stawia swe postaci wobec problemów nierozwiązalnych, przed koniecznością wyboru, który — jakkolwiek dokonany — musi przynieść bolesny skutek. Rygory moralne czynią koniecznym nie tylko sam wybór, ale i jego kierunek — chodzi bowiem o to, by być w zgodzie z samym sobą, z wewnętrznym nakazem sumienia, choćby nawet wbrew sobie, wbrew przyrodzonym instynktom biologicznym, uczuciowym itd. Dane są dwie możliwości, ale tylko jedna z nich — w pojęciu tych postaci — jest moralnie słuszna, godna człowieka. „Nie gwiazdy, lecz pragnienia i namiętności rządzą człowiekiem" — powiada święty Tomasz. Naczelnym zadaniem, jakie staje przed bohaterami „Epoki pieców", jest także zorganizowanie wewnętrzne własnych pragnień i namiętności, które poddając je nadrzędnej zasadzie etycznej, pozwoliłoby tym ludziom zwycięsko przejść trudną próbę godności. W pierwszych opowiadaniach („Józefów", „Koń") Rudnicki tego wewnętrznego procesu swych postaci nie ujawniał, uznając go za dokonany, ustalony (stąd w cytowanym fragmencie mowa o stałej gotowości moralnej). Konflikt przebiega pomiędzy postępowaniem bohatera a przeciwnościami zewnętrznymi. Postaci przełamują — poza tekstem literackim — naturalne opory psychiczne, osiągając taki stan wewnętrznego skupienia, który wyklucza możliwość zwątpienia, słabości czy załamania. Ich działanie jest prostą funkcją poznania i wrażliwości moralnej; one warunkują ów wstępny akt świadomego wyboru i wynikające zeń później czyny. Autor idealizuje swych bohaterów wyposażając ich w najpiękniejsze cechy ludzkie, i przez to jakoś ich — mimo wszystko — odczłowiecza, bo przyrodzone dążenia i instynkty egoistyczne nie są opanowane lecz wyeliminowane, i dlatego w przedstawieniu literackim życie psychiczne tych ludzi, tak wzniośle szlachetnych, jest bardzo ubogie. W dalszych utworach akcent zasadniczy przesuwa się coraz bardziej ku ludzkiemu wnętrzu, bo ono jest, jak powie w „Czystym nurcie", właściwym terenem zmagań i przełomów". Rzecz ciekawa i trudna do wytłumaczenia, że drążeniu w głąb człowieka towarzyszy silne zamącenie — zdobytych dopiero co w „Józefowie" i w „Koniu" — przeświadczeń o prawidłowości przebiegu procesów społeczno - historycznych — rzecz ciekawa i trudna do wytłumaczenia, bo sprawy te nie muszą się wcale wykluczać. W pierwszych opowiadaniach los ludzki określony jest wyraźnie przez ówczesne warunki historyczne, jest właściwie na pół egzemplifikacją procesów społecznych; później człowiek unoszony jest przez żywioł dziejów i o jego kolejach decyduje szereg niespodzianych, przypadkowych nieraz momentów,

Rys tragizmu, tragizmu odpowiedzialności za los, nie obcy jest Rudnickiemu. Konieczność decyzji, jakiej los wymaga od człowieka, jest egzaminem moralnym, jest momentem, w którym człowiek swą postawą, także swym późniejszym postępowaniem, nadaje swemu życiu określony sens. Bo wybór jednej z możliwości, wśród których można wybierać, wpłata bohatera w inny układ zdarzeń i inaczej kształtuje przebieg i sens jego życia. Postępowanie bohatera opowiadania „Ginący Daniel" stanowi mocny wyraz zarówno niezgody na los — jest rzuconym mu śmiało wyzwaniem — jak i świadomego przyjęcia odpowiedzialności. Przez cały czas swych rozpaczliwych, a w ostatecznym rachunku bezskutecznych, poszukiwań usprawiedliwienia, moralnego oczyszczenia, znajduje się na krawędzi życia i śmierci, zwycięstwa i klęski, zawieszony między imperatywem moralnym a biologicznym. Ocalenie godności osobistej wymaga narażenia życia i Daniel, choć bardzo je kocha, zaryzykuje: chce ocalić swe dobre imię, by móc żyć. Celu nie osiąga, ponosi hańbiącą śmierć, klęskę jakby podwójną. Jest tragiczny.

Na podobnej kolizji zasadza się konflikt „Majora Huberta z armii Andersa". Bohater w imię wierności wewnętrznym nakazom moralnym postąpić musi wbrew sobie, wbrew dobru własnemu i dobru społeczeństwa. Nazywa siebie człowiekiem przegranym, bo widzi, że każde wyjście z sytuacji, w jakiej się znalazł, jest połowiczne, burzy harmonię wewnętrzną, prowadzi do klęski. Ale tylko jedna decyzja — właśnie powzięta przez bohatera — mocą której traci wszystko, pozwala ocalić piękno człowieczeństwa, a więc to, co Rudnicki ceni najwyżej. Ten los jest losem Schillerowskim, „welches den Menschen erhebt, wenn es den Menschen zermalmt" — który człowieka udostojnia, kiedy go łamie. Autor nie może pogodzić się z decyzją bohatera, uwarunkowaną po trosze przeciwnymi racjami politycznymi, ale zachowa szacunek i podziw dla jego uczciwych, czystych racji moralnych. Bo postawa Rudnickiego jest postawą moralnej solidarności, współodczuwania ze swymi postaciami, postawą, która poprzedza wniknięcie w duszę człowieka, poznanie i zrozumienie jego przeżyć i wewnętrznych powikłań. Jest postawą głębokiego humanizmu pisarza, który cały swój twórczy wysiłek odcaje w służbę temu, co najbardziej ukochał: człowiekowi; jest postawą — poprzez zbieżność ocen etycznych i klimat wysokiego napięcia moralnego — bliską chrześcijańskiemu humanizmowi.

Sławomir Błaut

JERZY KOLANKOWSKI

RYS. JERZY ZAGORSKI

PODPALACZE

Akt pierwszy

Komisariat dzielnicowy policji w zachodnim Berlinie. Stół, krzesła, szafa, telefon. Na ścianach portrety Adenauera i Eisenhowera obok siebie, jakiś afisz propagandowy, zielono lakierowana balustrada, na stojaku karabiny. Na stole pałka gumowa. Wieczór czerwcowy roku 1953. Wachmistrz Bumcke siedzi i pisze. Scholl stoi, postawa służbisty, który oczekuje zleceń.

BUMCKE: *(z nad papierów)* Siadajcie, Scholl. Sterczycie nade mną jak ten kat nad biedną duszą. Kupa tego. Sam komunistyczny dreck. Donnerwetter. Siadajcie.

SCHOLL: *(służbiście)* Jawohl *(siada okrakiem na stołku, patrzy uparcie na przełożonego).* Przerabia się, niby tego, poprawia.

BUMCKE: Żeby było ładniej. Pan nadprokurator Taube lubi czystą robotę. On jeszcze z tamtych czasów. Ho, ho. Wymagający.

SCHOLL: Jawohl. Protokóły. Podpisane?

BUMCKE: Nic nie szkodzi. Jeszcze raz podpiszą.

SCHOLL: A jak nie zechcą?

BUMCKE: *(śmiejąc się)* Już ty się, Scholl, o to nie bój. *(bawi się chwilę pałką gumową).*

SCHOLL: *(po chwili)* I co z tego? Strajki, demonstracje. A tam u nich za Brandenburską Bramą spokój. Budują, psia ich mać, socjalizm.

BUMCKE: *(patrząc spod oka)* I wy, Scholl, w to wierzycie?

SCHOLL: Dobry Niemiec wierzy w to, w co mu każą wierzyć. Ale...

BUMCKE: Nie ma żadnego ale.

SCHOLL: Co to pomoże? Najwyżej się odwlecze.

BUMCKE: Dobrze, że nikt tego nie słyszy. Mogłoby być z wami źle. Wątpicie.

SCHOLL: *(przestraszony)* Ja? Skądże.

BUMCKE: Ja wam jestem życzliwy, Scholl. Nie ma świadków. Ale wy, Scholl, strzeżcie się. Jeden Niemiec jest porządny, dwóch także, ale jak się zejdzie trzech, wsypa murowana.

SCHOLL: Jawohl. Dziękuję panie wachmistrzu.

BUMCKE: Nie ma czego.

SCHOLL: Żona. Dzieci. Ciężko o uczciwą pracę. A tutaj zawsze... łatwiej.

BUMCKE: Więc właśnie mówię, Scholl. Ja wam dobrze życzę.

SCHOLL: *(wyprostował się)* Tak jest, panie wachmistrzu *(chwila)* A co zrobimy z tamtym? Ostatni z tej transzy.

BUMCKE: Zaraz go weźmiemy. Wiecie, że jest poufna instrukcja. Ważna instrukcja o Sonderaktion w sektorze sowieckim. Trzeba do tego ludzi. Muszą być ludzie, choć wystarczą i bydlęta.

SCHOLL: Jawohl. Bydlęta. *(śmieje się w kułak)*

BUMCKE: *(pisze, po chwili)* Skończone.

SCHOLL: Wprowadzić?

BUMCKE: *(przeciągnął się)* Taki ładny wieczór a człowiek zamiast pójść z żoną na szklankę piwa, musi z tą hołotą, tutaj.

SCHOLL: Służba.

BUMCKE: Wiadomo, psia.

SCHOLL: Przesłuchamy?

BUMCKE: *(gest głową, zniewięcie)* Niech wejdzie.

SCHOLL: *(wraca z nędznie ubranym mężczyzną lat ok. 40)* Melduję posłusznie. Zatrzymany wczoraj na Mengstrasse, za włóczęgostwo. Stawiał opór.

BUMCKE: Nazwisko?

SCHMIDT: *(milczy, obojętny)*

BUMCKE: *(podniesionym głosem)* Wasze nazwisko?

SCHMIDT: *(mówi ociągając się)* To nie ważne.

BUMCKE: Papiery macie?

SCHMIDT: *(tak samo jak poprzednio obojętny)*

SCHOLL: Są.

BUMCKE: Nazwisko?

SCHOLL: *(czyta)* Schmidt. Józef Schmidt.

SCHMIDT: To nie moje nazwisko.

BUMCKE: Jak to nie wasze. Ostrzegam was, że za fałszywe zeznania...

SCHMIDT: Ja mówię prawdę.

BUMCKE: Więc jak się nazywacie?

SCHMIDT: *(mówi z wysiłkiem)* Bezdomny *(nagle śmieje się)* do wczoraj.

BUMCKE: Bez kawałów, tylko. Więc nazywacie się Schmidt Józef?

SCHMIDT: Ja.

BUMCKE: Zawód?

SCHMIDT: Bez pracy.

BUMCKE: Poprzednio?

SCHMIDT: Palacz.

BUMCKE: *(wesoły)* A to dobrze się składa. *(zaciera ręce)* Doskonale. *(służbowo)* Włóczyliście się.

SCHMIDT: Nie mam domu. Bez pracy od roku.

BUMCKE: Komunista?

SCHMIDT: Nie.

BUMCKE: Radzę się wam przyznać.

SCHMIDT: Mówię, że nie. Ranny pod Stalingradem. Odznaczony żelaznym krzyżem w trzydziestym dziewiątym w Polsce. *(do siebie)* Nigdy tam nie byłem.

BUMCKE: Ranny? W Polsce? To dobrze. *(zmienia ton)* Będziecie znowu potrzebni.

SCHMIDT: Ja?

BUMCKE: Dostaniecie pracę. Dobrą pracę. Zapłaci się wam.

SCHMIDT: *(ożywia się).* Dostanę pracę? A niby kto mnie zartudni?

BUMCKE: Zatrudnimy was. Nie bójcie się. Dla porządnych obywateli jest dużo pracy. Jest rozkaz komendy amerykańskiej...

SCHMIDT: W Niemczech, znaczy się...

BUMCKE: Chwilowo. Wy jesteście widzę patriotą. Tu chodzi o jedność Wielkiej Rzeszy, rozumiecie?

SCHMIDT: Rozumiem.

BUMCKE: Będziecie milczeć?

SCHMIDT: *Maul halten.*

BUMCKE: Bo inaczej nie wyjdziecie stąd. Pamiętajcie. Więc chcecie pracy, uczciwej, patriotycznej pracy?

SCHMIDT: Każda praca dobra. Jeśli można potem jeszcze tak... *(przytknięcie w szyję)*

BUMCKE: *(do siebie)* Alkoholik. Tym lepiej. *(głośno)* Dostaniecie przedtem a i potem wystarczy wam na długo. *(śmiejąc się)* Możecie nawet zostać bogatym człowiekiem. U nas teraz po amerykańsku. Wszystko zależy od was. *(po chwili)* Słuchajcie teraz, Schmidt.

SCHMIDT: Słucham.

BUMCKE: Pójdziecie niby to do krewnych, do wschodniego Berlina. Macie krewnych?

SCHMIDT: Nie.

BUMCKE: Nic nie szkodzi. Będziecie mieli przepustkę. Nie wy jeden. Inni też pójdą. Cała grupa. *(ciszej)* Tysiące takich jak wy.

SCHMIDT: Będzie weselej.

SCHOLL: O, wesoło.

BUMCKE: Wiecie, że tam za żelazną kurtyną panuje ciemność.

SCMIDT: *(zdziwiony)* Jak to ciemność?

BUMCKE: Duch ciemności. Wy się postaracie, aby się tam jaśniej zrobiło.

SCHMIDT: To będziemy elektrownię tamtym naprawiać. Czy jak?

BUMCKE: Nie zupełnie. *(z naciskiem)* Wasza grupa, Schmidt, podpali elewator zbożowy.

SCHMIDT: *(wahająco).* Elewator. Ja. Rozumiem. Ale to trudna praca. Niebezpieczna.

BUMCKE: Wy ją wykonacie. Pomogą wam. Tam jest dużo naszych ludzi.

SCHMIDT: *(nagle znowu apatyczny)* Wszystko jedno.

BUMCKE: To, uważacie, praca dla zjednoczenia Niemiec. Będzie się potem pisać w gazetach, rozgłaszać w radio, że niezadowolona ludność sektora wschodniego walczy i protestuje przeciwko nieludzkim warunkom życia pod okupacją bolszewicką. Że pragnie jedności z nami, że chce się uwolnić spod jarzma. Rozumiecie?

SCHMIDT: Rozumiem. Rozumiem, że byłem bez domu, bez pracy, że byłem głodny. A teraz wy mi dajecie pracę godną człowieka niemieckiego. Podpalić. Jeśli chcecie, podpalimy. Nie nowość.

BUMCKE: Wycofacie się potem.

SCHMIDT: *(z odcieniem drwiny)* Planowo.

BUMCKE: A tutaj nie minie was nagroda.

SCHMIDT: Praca, dach nad głową...

BUMCKE: Dużo pieniędzy.

SCHMIDT: No, dobra.

BUMCKE: A teraz, mała formalność.

SCHMIDT: Umowa o pracę?

BUMCKE: Coś w tym rodzaju. *(wyciąga z szuflady protokół z naklejoną fotografią)* To wy?

SCHMIDT: Tak, ja.

BUMCKE: Podpiszecie.

SCHMIDT: Przeczytajcie, co tam stoi.

BUMCKE: Nie trzeba. To tylko formalność. Wasze wczorajsze zeznanie. Przyznaliście się, że usiłowaliście dokonać napadu rabunkowego.

SCHMIDT: *(przestraszony)* Ja? Skądże? To kłamstwo.

BUMCKE: Tak. Wy. Podpiszcie. Prędzej stąd wyjdziecie. Interes przecież ubity. Wyście się zgodzili.

SCHMIDT: *(głucho)* Zgodziłem się *(gwałtownie)* Dajcie *(szybkimi ruchami podpisuje).*

BUMCKE: No, z was widzę prawdziwy patriota. Brawo, Schmidt. Takich ojczyzna teraz potrzebuje.

SCHMIDT: Mogę odejść?

BUMCKE: Zaraz pójdziecie do swego chwilowego mieszkanka.

SCHMIDT: Do celi? Dlaczego?

BUMCKE: Chwilowo. Jesteście nam potrzebni. Dostaniecie jeszcze wskazówki. A pojutrze, za tydzień albo dwa dacie znać o sobie. Stamtąd.

SCHMIDT: Stamtąd. Podpalało się wsie na Ukrainie. Czemużby teraz nie tam! *(wskazuje ruchem głowy na wschód)* Choć to też Niemcy...

BUMCKE: To bolszewia, która wkradła się w nasze niemieckie granice. Widzę, że pojęliście dobrze. Dziękuję wam, Schmidt. *(podaje mu rękę, której Schmidt nie przyjmuje, kłania się z daleka)* No, to *abtretten.*

SCHOLL: *(do Schmidta)* Idziemy.

SCHMIDT: Przygotować się do pracy. *(wybucha śmiechem)* Mam pracę, tak dostałem uczciwą pracę. Będziemy teraz palić w wielkim piecu, ha, ha, ha, w wielkim piecu historii. *(Schmidt i Scholl wychodzą).*

BUMCKE: *(sam)* Może od tego ognia znowu zajmie się świat. A wtedy zwycięstwo musi być nasze. *(telefon)* Główna Komenda? Tak. Tu Bumcke. Melduję, że zadanie „Wschód 27" wykonane. Ogółem sześćdziesięciu. Tak. Proszę powiadomić o tym pana oberpolicmajstra von Moltke. Tak jest. Rozkaz. *(wypręża się na baczność trzymając jeszcze słuchawkę w ręku).*

Akt trzeci (fragment)

Ulica pod elewatorem zbożowym. W głębi wysoki budynek z czerwonej cegły. Fragmenty ogrodzenia, podmurowanie i żelazne wysokie sztachety. Brama żelazna, nad którą napis: Państwowe Zakłady Zbożowe. Za ogrodzeniem budka strażnicza. Afisze pięciolatki. Około godziny siódmej rano dnia 17.VI. 1953 r. Pogoda słoneczna, gdzieniegdzie ślady wieczornej ulewy. Scena przez chwilę pusta. Śpiew ptaków, odgłosy miasta.

OBYWATEL I: *(z lekka zataczając się)* Prima. Powiadam ci, Hans, prima. Nie ma to jak u mamy Kafferbaum. Takiego sznapsa dawno nie piłem.

OBYWATEL II: Dawno tyle nie wypiłeś.

OBYWATEL I: A te kiełbaski. Buzi.

OBYWATEL II: Wesoło było.

OBYWATEL I: *(śpiewa)* Tralilali bum trala. Wesolutko.

OBYWATEL II: A do pracy idziesz?

OBYWATEL I: Czyś ty z byka spadł? Ja? *(dostał czkawki)* Ja? Ja nie. Ja idę spać, Hans najlepsza rzecz na świecie wyspać się. Co... bumelant? Hans, ty mnie nie obrażaj. Ja nie jestem bumelant. Ja jestem patriota, ja piję, aby żyła nasza kochana ojczyzna. Wiwat!

OBYWATEL II: Ty rzeczywiście jesteś patriota. Twoja ojczyzna za każdym szynkwasem.

OBYWATEL I: A dokąd teraz pójdziemy, Hans? Ja chcę jeszcze tańczyć. *Tanzen und singen, tanzen und springen...*

OBYWATEL II: Za dużo wypiłeś. Nogi ci się plączą.

OBYWATEL I: Ja, Hans, ja chcę do mamy Kafferbaum. Buzi.

OBYWATEL II: Nie bój się, dostaniesz. Już twoja Klara nie od tego.

OBYWATEL I: Ja nie chcę od Klary po buzi. Ja chcę do mamy Käfferbaum. *(przechodzą)* Hans, dokąd my idziemy?

(Większa grupa robotników i robotnic wchodzi w obręb zabudowań elewatora, inni przechodzą. Dalekie syreny fabryczne. MŁODY CZŁOWIEK w cyklistówce przechodzi gwiżdżąc).

BYŁY JUNKIER: *(monokl w oku, potyka się, monokl wypada mu, w tym samym momencie następuje spotkanie z byłą damą).* Ach, co za urocze spotkanie! Tyle czasu.

BYŁA DAMA: *Enchantée.* Wiekl.

BYŁY JUNKIER: Ostatni raz miałem szczęście widzieć szanowną panią szambelanową na balu u księstwa Schaffgotschów w Warmbrunn. Jakże zmieniły się czasy.

BYŁA DAMA: To się teraz, wyobraża sobie pan, bo ja ciągle nie, to się teraz nazywa *Czeplicy.* Taka urocza miejscowość *Czeplicy.* Pogańska nazwa. *Mon Dieu.*

BYŁY JUNKIER: Nie traćmy nadziei, nie traćmy nadziei, droga pani.

BYŁA DAMA: Pan był zawsze niepoprawnym optymistą, hrabio. A cóż słychać z pańskimi dobrami w Warthe?

BYŁY JUNKIER: Jest tam teraz, pożal się Boże, gospodarstwo państwowe.

BYŁA DAMA: I jak gospodarują?

BYŁY JUNKIER: Trzeba przyznać nieźle.

BYŁA DAMA: Słyszał pan?

BYŁY JUNKIER: Miałem wiadomość. Od pewnego człowieka. Więc jeśli by się coś na świecie odmieniło...

BYŁA DAMA: Liczymy na to wszyscy.

BYŁY JUNKIER: Chwilową stratę...

BYŁA DAMA: Bez wątpienia.

BYŁY JUNKIER: Powetują tamtejsze inwestycje, na które mogło sobie pozwolić tylko państwo nawet takie, rozumie droga pani, państwo jak to, nędzne socjalistyczne państwo.

BYŁA DAMA: A jak z parcelacją?

BYŁY JUNKIER: Istotnie część gruntów oddano małorolnym, ale to się już całkiem łatwo odbierze. Przecież musi być jakaś sprawiedliwość.

BYŁA DAMA: Całkiem słusznie. Sprawiedliwość. Ale może mi pan powie, hrabio, dokąd to tak wcześnie.

BYŁY JUNKIER: Diablo wcześnie, *Sacrebleu.* Daruje pani.

BYŁA DAMA: Nie szkodzi.

BYŁY JUNKIER: Proszę sobie wyobrazić, jestem buchalterem w pewnej firmie. Trzeba jakoś żyć. Trudna rada. Ale najważniejsze nie tracić nadziei, nie tracić nadziei, pani szambelanowo. I nie tracić kontaktu, nie tracić kontaktu.

BYŁA DAMA: Oni to nazywają reedukacją, prostacy. Proszę tylko pomyśleć. Pracuję w przedszkolu przyfabrycznym! To naprawdę bardzo odpowiednie zajęcie dla szambelanowej.

BYŁY JUNKIER: To okrutne. To skandaliczne, co oni z nami zrobili. Reedukacja. *Voyez!*

BYŁA DAMA: Ale musimy się śpieszyć. *Au revoir.*

BYŁY JUNKIER: *A rivederci,* pani szambelanowo. I nie tracić kontaktu, nie tracić kontaktu *(rozchodzą się w przeciwne strony).*

ROBOTNIK III: Widziałeś tamtego? To podobno hrabia.

ROBOTNIK IV: Trudno poznać. Wyglądają na zupełnie przyzwoitych ludzi. *(przechodzą).*

DZIENNIKARZ I: Dawniej nikt nie sprzedałby ci tej wiadomości za grube pieniądze. Ale dziś dostaniesz ode mnie za darmo połowę artykułu redakcyjnego dla swego Berlinera.

DZIENNIKARZ II: Żartujesz chyba.

DZIENNIKARZ I: To im się zbiera na żarty. Niebezpieczne żarty. Mamy wiadomości o zamierzonym zamachu na NRD. Ale na razie zachowujemy spokój. Cicho sza. Jak gdyby nigdy nic. Coś musiało tam nie klapować. Nadburmistrz Berlina zachodniego w niełasce. Jego zastępca Dr Wamcke ustąpił. Córka jego aresztowana, po kilku godzinach wypuszczona na wolność, uciekła w niewiadomym kierunku. Oberpolicmajster von Moltke zachorował.

DZIENNIKARZ II: Nagła niedyspozycja połączona z ciężkimi wyrzutami sumienia.

DZIENNIKARZ I: Połączona z wyrzuceniem z obecnego zaszczytnego stanowiska. I katzenjammerem. Jasne, że to choroba dyplomatyczna. Za tym zawsze się coś kryje.

DZIENNIKARZ II: Rzeczywiście, połowa artykułu już jest.

DZIENNIKARZ I: Nakładają na tę beczkę chadecko-hitlerowskiego zleżałego prochu coraz nowe obręcze, aby się nie rozsypała... *(przechodzą).*

WALTER: Jesteśmy na miejscu.

ELISABETH: Spokój zupełny. Normalny ruch w mieście.

SCHMIDT: Spokój przed burzą, zapewniam panią.

WALTER: Spokój ludzi zajętych uczciwą pracą.

SCHMIDT: Trzeba uprzedzić wartownika. Jeśli jeszcze nic nie wiedzą. *(idzie do budki, rozmawia krótką chwilę).*

SCHMIDT: Są w pogotowiu. Przygotowani na wszystko.

(Słychać syreny alarmowe).

ELISABETH: O, coś się dziać musi w mieście. Słyszycie. Co to? Wystrzały?

SCHMIDT: Widocznie zaczęły się jakieś incydenty.

WALTER: *(do przechodzących gromadkami ludzi)* Zatrzymajcie się.

GŁOSY: Co? Co się stało? Dlaczego? Zatrzymajmy się!

WALTER: Staniemy tutaj przed bramą. Weźmiemy się za ręce i utworzymy pierwsze ogniwa żywego łańcucha obronnego. *(Do żony)* Nie boisz się, Elisabeth? Może lepiej, żebyś w domu była przy małej. *(Ustawiają się przed wejściem w coraz rosnący łańcuch ludzi powiązanych uściskiem rąk).*

ROBOTNIK: *(wbiega)* Na Potsdamerplatz podpalono wielki Columbiahaus. Bandyci z BDJ demolują sklepy, podpalają samochody. Regularna bitwa. Alarm obywatele. Alarm! *(z budynku wybiegają robotnicy z narzędziami pracy, gromadzą się przed wejściem. Przez scenę przechodzi ranny prowadzony przez jakąś kobietę).*

SCHMIDT: Zaczęło się.

ROBOTNIK I: Co się właściwie dzieje?

ROBOTNIK II: Idą na nas. Zaraz tu będą. Cała zgraja.

ROBOTNICA: Co się stało? Wojna?

ROBOTNIK: Napad na spokojne miasto.

GŁOSY: Obezwładnić podpalaczy.

MŁODY CHŁOPAK: *(wbiega)* Zbliża się tutaj jakaś banda. Uwaga. Nie dopuścić ich pod elewator.

WALTER: Dajcie ręce, towarzysze.

SCHMIDT: Obronimy...

(Gromada robotników, mężczyzn, kobiet i dzieci, obywatele Wschodniego Berlina trzymając się za ręce, tworzy mur. W górę podniesione głowy, patrzą przed siebie, czujni opanowani. Z daleka dochodzą odgłosy walki ulicznej, kłęby dymu pojawiają się na niebie. Nad zgromadzonymi obrońcami ciągły daleki ryk syren fabrycznych wzywających na alarm. Nagła cisza. Dym, który pojawił się na niebie, rozwiewa się).

ALEKSANDER ROGALSKI

SENS TRUDU I CIERPIENIA

Anna Seghers

NA czym polega istota twórczości Anny Seghers? Co wyodrębnia ją nie tylko spośród pisarzy niemieckich, ale w ogóle spośród współczesnych pisarzy europejskich? Co jest tą ukrytą siłą, która nadaje jej postaciom i jej światu ruch i życie? Co stanowi cel i zarazem źródło wysiłków twórczych autorki „Siódmego krzyża"?

Nie łatwo jest dać odpowiedź na te pytania. Książki Anny Seghers stawiają nas w obliczu spraw i zagadnień, wobec których nie możemy być obojętni. Ich surowej powagi nie zdoła nam przesłonić satysfakcja estetyczna. Od razu jest bowiem widoczne, że nie w kategoriach piękna mieści się ich sens. Nie o swoiście, indywidualnie przeżytą wizję piękna w nich chodzi, ani o podzielenie się z czytelnikiem doświadczeniami ludzkimi autora, ale o zupełnie coś innego.

Wydaje się to nieuchwytne, choć zostało przedstawione w intensywnym kształcie literackim. Trzeba do książek Anny Seghers wracać raz i drugi, i trzeci. Trzeba nad nimi długo nieraz pomedytować, by uświadomić sobie charakter jej pisarstwa a zarazem uświadomić sobie istotę własnych wrażeń i przeżyć wywołanych przez tę twórczość.

Jakżeby zresztą mogło być inaczej, skoro to, co stanowi sedno twórczości Anny Seghers, skoro to, co — jak powiedzieliśmy — nadaje jej światu i jej postaciom ruch i życie, a dodajmy nadto: sens i najwyższą sankcję — zdobyte zostało największym wysiłkiem, męką i cierpieniami, przezwyciężoną trwogą i zwątpieniem? I dlaczegoż miałaby się tak łatwo dać uchwycić w słowa rzecz, która zdolna jest gruntownie przeobrazić życie człowieka i uczynić go wyższym ponad męczarnie ciała i grozę śmierci?

POWIEŚĆ „Siódmy krzyż" — to bezprzecznie najwyższe z dotychczasowych osiągnięć Anny Seghers, powieść dająca nam w przekroju obraz życia wielkiego narodu niemieckiego w latach jego bezmiernego upadku. Jest ona w gruncie rzeczy eksploracją tajemnicy tego, co sprawia, że nawet w najtrudniejszych, najbardziej nieprzyjaznych okolicznościach człowiek zachowuje a nawet wzmacnia swe człowieczeństwo i co zarazem ratuje godność całego narodu, stanowi rękojmię jego lepszej przyszłości, jego odrodzenia. Intencji swojej dała autorka wyraz już na pierwszej stronie powieści, by podkreślić ją jeszcze na ostatniej.

Autorka bynajmniej nie sili się, by intelektualnie precyzyjniej ująć istotę zarówno jednostki, jak i całej zbiorowości. Jest ona tym wszystkim, ale jeszcze czymś innym, czego wcale nie potrzeba określać, a nawet co niesposób określać, bo to coś rozsadza wszelkie formuły i określenia. Jest potężne jak życie, jest wielorakie i wielokształtne jak sama cierpiąca i walcząca ludzkość. I jest wreszcie tak nieuchwytne jak drgnienia duszy, które pojąć można nie obserwacją i rozumem lecz tylko przeżyciem. Dlatego ujawnianiu tej siły Anna Seghers nie poświęca kilkunastu zdań, ale całą swą książkę, w której zbiegają się wszelkie poprzednio ją ożywiające motywy i idee. Działanie jej pokazuje na przykładzie najrozmaitszych osób i w najrozmaitszych okolicznościach. Refleksy jej śledzi u ludzi uosabiających szczyty człowieczeństwa i u tych, co uosabiają złe moce, przedstawiają dno upadku. Śledzi u mężczyzn i u kobiet, u ofiar i u katów, u odważnych, przeciętnych i tchórzliwych, u uświadomionych i nierozbudzonych, u walczących i u biernych.

Przede wszystkim jednak — u człowieka przeciętnego, obarczonego wieloma skłonnościami i winą za cierpienia bliskich mu osób, który został poddany straszliwym próbom. Mam oczywiście na myśli Georga Heislera. Na jego właśnie przykładzie widać najlepiej, że w momentach, w których ujawnia się prawdziwa istota moralna człowieka i które wymagają największego napięcia woli, ujawnia się również potęga tej pozytywnej, twórczej siły ocalającej przed zniszczeniem to, co w człowieku najważniejsze.

Siła ta czyniła z bezbronnych, skatowanych ludzi twierdze, których nie potrafili zdobyć wyposażeni we wszystkie środki terroru i przemocy hitlerowscy kaci. Ludzie ci stali się odporni nie tylko na męczarnie, przed którymi wzdraga się ich sponiewierane do niemożliwości ciało, nie tylko strach przed śmiercią. Ale co więcej — zdobywają się oni na to, by stać się już umarłymi za życia, by umrzeć we wszystkim i dla wszystkiego, co było im najdroższe: żona, dzieci, przyjaciele — byleby tylko zachować wierność temu, co jest jeszcze.

Ta potężna w swych skutkach a nieuchwytna w swej istocie siła, gdy wstąpi w duszę biednych przeciętnych ludzi, z gruntu zmienia ich życie: „Całe życie marzyłem o najprostszych rzeczach — wyznaje Franz Marnet — o łące albo kajaku, książce, przyjaciołach, dziewczynie, o spokoju dokoła mnie. Ale potem w moje życie weszło tamto. Przyszło, gdy byłem jeszcze zupełnie młody — to pragnienie sprawiedliwości. I całe moje życie zwolna poczęło się zmieniać i teraz tylko pozornie jest spokojne..."

Istnienie i działanie tej siły u takich ludzi nadaje ich życiu sens, a nawet wywyższenie. Dzięki niej przeżywają je oni niezwykle intensywnie. Zaspokaja ona ich pragnienie szczęścia. Codzienne życie z codzienną walką o chleb bywa zarazem „życiem mocnym, śmiałym", bo polega na „gorącym współudziale we wszystkim, co warto przeżyć" — jak to ilustruje autorka retrospektywnie na przykładzie życia Bachmanowej w chwili, gdy zostało ono wskutek załamania się w gestapo

(Dokończenie na str. 6)

JÓZEF SZCZAWIŃSKI

WRZEŚNIE

W miesiącu spokojnych nieb i nakarmionych krain,
odpoczywają pola po trudach urodzaju.

Ziemia jak kot się przeciąga pod ostrą pieszczotą pługów,
już tęskni mocno a skrycie za ziarna przyjazną strugą.

Zieleń wczesnej jesieni jak utrudzony wędrowiec
w stawie od burz wezbranym odbicie swoje chłodzi.

Łagodniejące słońce, zmęczone upałem sierpnia
śliwkom przydaje słodyczy, gruszkom odbiera cierpkość.

W sadach weseli chłopcy, stare jabłonie płoszą,
aby strząsały owoce w paszcze łakomych koszów.

Zanim umilkną młocarnie w trzewiach spęczniałych stodół
już zadźwięczały gwiazdy nad złotoszarym stogiem...

W ulicach zbudzonych z lata, w mieście ludźmi wezbranym,
dzień pracowity rozpina ceglane panoramy.

Wzrok do wędrówek przywykły po morzu szerokim i górach
wciąż się boleśnie potrąca o miejską architekturę.

Uczniowie, którym wakacje z palców zmyły atrament
w tornistrach niosą ciekawość spraw jeszcze nie poznanych.

Wieczorem park nas chroni przed nagłym przepływem chłodu,
latarnie są zakochane w niklu samochodów.

Miasto, pola i las, domy, ogrody, ulice —
wrześniowe krajobrazy ludzi wierzących w przyszłość.

*

Ziemia przechowuje pamięć.
Ziemia skrywa lata.
Przyłóż ucho do ziemi.
Słyszysz:
Wysoką struną śpiewa śmierć.
Mlaskają gąsienice czołgów
w błocie z gliny, krwi i ciał.
Rozpacz miliona kobiet
znajdziesz w krzyku rozpadającego się domu.
Płacz dzieci, które nim się narodziły —
zmarły w ciele zabitych matek
przelewa się przez krawędź nieba.
Łza żołnierza, którego śmierć była daremną
przepala czas
i ciężko spada na serce Boga.
— Stańcie przeciw wrześniom
oderwanym od bogactw jesieni,
krwawym, dzikim i wzburzonym rozpaczą.
Wrześniom podpalonym przez człowieka —
oto co powie wam ziemia
ziemia wszystkich krajów.

WIESŁAWA RATAJCZYK

PIERWSZY ETAP AGNIESZKI

DŁUGI, WYŚCIEŁANY OSTRYM, CZERWONYM CHODNIKIEM KORYTARZ ZDAWAŁ SIĘ CIĄGNĄĆ W NIESKOŃCZONOŚĆ. ZAMYKAJĄCE GO GDZIEŚ W GŁĘBI WYSOKIE AŻ PO SUFIT OKNO POMNIEJSZAŁO SIĘ NIEMAL DO LEDWO WIDOCZNEGO, JASNEGO PUNKTU. CO ZA ŚWIETNA PERSPEKTYWA! — MYŚLAŁA AGNIESZKA SIEDZĄC W PRZECIWLEGŁYM KOŃCU OGROMNEGO HALLU I WERTUJĄC OD CZASU DO CZASU NOWIUTKIE KARTKI DOPIERO CO KUPIONEJ KSIĄŻKI

OCZEKIWANIE WCIĄŻ SIĘ PRZEDŁUŻAŁO; WSKAZÓWKI ZEGARA PRZESUWAŁY SIĘ DZIWNIE OSPALE, TAK, IŻ CHWILAMI AGNIESZKA ODNOSIŁA WRAŻENIE, ŻE STOJĄ W MIEJSCU. ALE NIE... ZEGAREK RÓWNOMIERNIE ODMIERZAŁ CZAS — TO TYLKO DŁUGIE CZEKANIE W PEŁNYM NAPIĘCIU DZIAŁAŁO JEJ WIDOCZNIE NA NERWY. NIE MOGŁA JUŻ WIDOCZNIE NAWET SIEDZIEĆ, BO CO I RAZ WSTAWAŁA Z KRZESŁA, PRZEMIERZAJĄC DLA ZABICIA NUDY CAŁY KORYTARZ.

W PEWNEJ CHWILI, GDY WŁAŚNIE DOBIJAŁA DO KOŃCA TEJ BEZCELOWEJ WĘDRÓWKI, ROZLEGŁO SIĘ UPRAGNIONE OD DAWNA SKRZYPNIĘCIE DRZWI, A W CHWILĘ POTEM GŁOS SEKRETARKI:

— Pani Budzyńska, proszę do kierownika...

Nigdy chyba nie niosły ją nogi tak szybko jak wtedy do tych drzwi, opatrzonych niewielką tabliczką z napisem: wydział szkolnictwa podstawowego. Nareszcie.. po tylu godzinach!

Kierownik Zubrzycki nie zwrócił nawet uwagi na wchodzącą do jego gabinetu dziewczynę. Siedział odwrócony bokiem, uważnie notując coś na marginesie rozłożonego na biurku dziennika i zdawał się być całkowicie pochłonięty pracą.

Agnieszka nie wiedziała od czego zacząć. Dopiero po dłuższej chwili, zniecierpliwiona już na dobre, zdobyła się na odwagę:

— Przepraszam, ale... ja tylko na chwilę...

Zubrzycki odwrócił się, jakby zdziwiony nagłą obecnością interesanta — ale spojrzawszy na Agnieszkę, uderzył się w czoło.

— Ach, pani... Budzyńska, o ile się nie mylę?... Prawda, mieliśmy porozmawiać! Proszę niech pani siada — zerwał się z miejsca podsuwając Agnieszce krzesło.

Znowu zapadło niepokojące milczenie, które tym razem przerwał Zubrzycki:

— Więc pani chodziło o to, żeby otrzymać pracę w szkole miejskiej, prawda? A dostała pani nakaz na wieś, do Łaz, tak?

— No cóż... — ciągnął dalej Zubrzycki. — O ile chodzi o odbytą przez panią praktykę, to muszę przyznać, że zdała pani egzamin na piątkę i to... mimo wielu napotykanych na drodze trudności. Gratuluję! Takich nauczycieli potrzeba nam więcej. Właśnie takich, którzy potrafiliby się bić o lepsze, umieliby sami organizować sobie pracę. To jest najważniejsze.

— A teraz — rzekł wreszcie zaciągając się z lubością kłębami szarego dymu. — Nie chce pani pracować wyznaczonych dwóch lat w wiejskiej szkole... No tak... trudno się dziwić. Wychowała się pani i uczyła w mieście i to nawet w Warszawie... Ciężko iść na wieś, pewnie. Ale czy pani wie, że na ogólną liczbę absolwentów miejskich szkół pedagogicznych zaledwie 12 proc. idzie pracować do miast? Resztę wchłania wieś, wieś, która wciąż cierpi na brak dobrych nauczycieli.

Zubrzycki spojrzał uważniej na siedzącą bez ruchu Agnieszkę i wstał zza biurka.

— A więc co postanowiliśmy... Nie, pani Agnieszko, nie możemy zatrudnić pani w mieście. Na panią czekają Łazy. A zresztą, — dorzucił — niech mi pani wierzy, nie mam w Warszawie ani jednego wolnego etatu...

Agnieszka patrzyła na Zubrzyckiego nieruchomym i pełnym rezygnacji spojrzeniem.

— A więc to już koniec. Mój Boże i jednak te nieszczęsne Łazy...

*

NA całą wieś składało się zaledwie kilkanaście, bezładnie rozrzuconych chałup, w większości krytych słomianą strzechą, z lichymi na ogół budynkami gospodarskimi. Z jednej strony otaczał tę gromadkę pas młodej dębiny a z drugiej grząskie, szeroko rozlewające się bagna, za którymi daleko, jak okiem sięgnąć, falował Bałtyk.

Szkoła stała jakieś półtora kilometra od wsi, na przysłowiowym wygwizdowie, pozostawiona na łasce i niełasce nocnego stróża. Wygląd i stan szkolnego budynku przechodził wszelkie wyobrażenia i tak już zniechęconej Agnieszki. Brudne ściany, powybijane szyby i kilka odrapanych sześcioosobowych ławek — to było wszystko. Cały majątek przeznaczonego dla niej gospodarstwa.

A słowa tutejszego kierownika szkoły rozgoryczyły ją jeszcze bardziej. Dubielak spojrzał krytycznie na młodą nauczycielkę i smętnie pokiwał głową.

— Nie mieli tu kogo przysłać, to wypchnęli panią — ocenił z miejsca. — Nic dziwnego. Wszyscy stąd uciekają. Nikt nie może wytrzymać w takich warunkach i na takim odludziu dłużej niż rok. To tylko ja długo tu siedzę... Tutejszy — dodał dla wyjaśnienia. — A i pani stąd niedługo ucieknie... Na pewno.

I jeszcze trudniej było Agnieszce pogodzić się z myślą rozpoczęcia pracy nauczycielskiej w Łazach. Widok nędznych, przygarbionych chat i rozjeżdżonych błotnistych dróg przygnębił ją zupełnie. Agnieszka tęskniła za miastem.

Najbardziej obawiała się pierwszych dni pracy. Od czego tu zacząć? Przecież nie od młodzieży, bo to jeszcze wakacje i nie wiadomo gdzie jej szukać. A zresztą gdzie tu porozmawiać z dziećmi, kiedy szkoła znajduje się w takim opłakanym stanie? Najpierw wypadałoby się wziąć za jakie takie uprzątnięcie klas, doprowadzenie do porządku przynajmniej jednej sali... Tak... ale od kogo można oczekiwać pomocy? Chyba, że starsi pomogą... Tu Agnieszce przyszła do głowy nagła myśl: A gdyby tak zwołać rodziców? Ba, może i komitet rodzicielski dałoby się założyć. Tego tu podobno jeszcze nie było...

Pierwsze kroki skierowała Agnieszka ku zagrodzie Kustoszów. Chałupa stała tuż pod lasem i wyróżniała się od innych nową, czerwoną dachówką, przyzwoitym oparkanieniem i świeżo wybudowaną stodołą.

Bawiące się przed domem dzieciaki pierzchły na widok Agnieszki i ukryły się za węgłem przyległej do domu komórki. Co ciekawsze wychylały odważniej głowy, przyglądając się nowej nauczycielce z wzrastającym zainteresowaniem.

Ale niespodziewana wizyta Agnieszki najbardziej zdziwiła starego Kustosza. W pierwszej chwili nie wiedział jak się z nią przywitać. Spoglądał na dziewczynę nieufnym. bynajmniej nie przyjaznym wzrokiem i nie ruszał się z miejsca. W ręku trzymał na pół rozwiniętą calówkę wymierzając nią uważnie kawałek szyby.

Agnieszka ostrożnie omijając pocięte szkło usiłowała podejść bliżej do zaimprowizowanego w kącie szklarskiego warsztatu.

— Nic, nic, proszę przejść tędy — Kustosz zerwał się nagle ze stołka. — I niech pani siada — rzekł uprzejmiej, podsuwając Agnieszce mały, okrągły zydelek. — A... to tak, za interesem, czy...

Agnieszka nabrała odwagi.

— E, nie tak znowu za interesem. Widzicie, jestem tu już kilka dni a przecież właściwie poza Dubielakiem nikogo nie znam. Jakby nie było — mam tu być aż dwa lata, to i musimy się poznać, prawda? No, a poza tym...

— Dwa lata, dwa lata! — przerwał zrzędliwie Kustosz. — Akurat! Już ja widzę, jak wy tu usiedzicie dwa lata! Wiele takich u nas było co to niby mieli dłużej siedzieć... i gdzie się podzieli? Zwiali, po prostu zwiali... Obora im śmierdziała, błoto na butach się nie podobało... A, tam! co tu zresztą gadać — machnął niecierpliwie ręką — pani też stąd niedługo ucieknie...

Kustosz był już drugą osobą, która z taką pewnością twierdziła, że Agnieszka długo w Łazach nie wysiedzi. Pierwszą był Dubielak. Ta ich pewność zaczynała już ją na dobre denerwować. Co to znaczy: ucieknę? Przecież mnie nie wygonią, to zależy tylko odemnie — myślała z wzrastającą wciąż ambicją. — Dwa lata, to przecież nie tak wiele, wytrzymam na pewno.

Najgorzej — jak tu zacząć z tą pomocą? Delikatnie, od słowa do słowa przedstawiała Agnieszka Kustoszowi swoje największe trudności. Że nie ma szyb w szkole, że wokół budynku brudno i nieprzyjemnie, że ławki połamane, niewybielone ściany itd. itd.

Kustosz słuchał cierpliwie, kiwał potakująco głową i zgadzał się z Agnieszką dopóty, dopóki nie napomknęła o tym zebraniu.

— Zebranie?! Ja tam nigdzie nie przychodzę... Dajcie mi święty spokój, mam za dużo roboty na łbie! Jeszcze tego brakowało, żebym po jakichś tam zebraniach się włóczył. Napewno nie przyjdę — rzekł stanowczo, poprawiając spadające mu wciąż okulary i zabierając się znowu do krajania szkła.

Agnieszka powoli zabierała się do wyjścia. U Kustosza jakoś się nie powiodło, trzeba było iść szturmować dalej. W momencie jednak zamykania drzwi, Kustosz zerwał się z miejsca i zatrzymał ją w progu.

— Ja tego... no, chciałem powiedzieć, że gdyby wam było coś z czym ciężko, to i chętnie pomogę, tylko na zebranie nie pójdę...

Od chałupy do chałupy przeszła Agnieszka całą wieś. Przyjmowano ją różnie. Jedni — nieustającą paplaniną o cudownym uzdolnieniu dzieci, drudzy czekali w milczeniu, aż sama coś zacznie mówić. Wysłuchiwano ją na ogół cierpliwie i uprzejmie, ale nikt nie chciał słyszeć o żadnym zebraniu. Wykręcano się brakiem czasu, nawałem roboty w polu, pilnymi zajęciami w domu. Kilka zaledwie osób obiecało że... może uda im się wpaść do szkoły.

Toteż kiedy następnego dnia zbliżała się godzina rozpoczęcia zebrania z rodzicami, Agnieszka niecierpliwiła się i miała jak najgorsze przeczucia: na pewno nikt nie przyjdzie. Jakież było jednak jej zdumienie, gdy zbliżając się do szkoły, spostrzegła przed wejściem kilku głośno rozmawiających gospodarzy, a wśród nich nawet starego Kustosza. Ten przecież zastrzegał się najbardziej, że nie przyjdzie. Ciekawość wzięła jednak górę.

Agnieszka czuła się wśród nich jak sztubak. Okazało się, że wiedzieli dużo lepiej od niej co trzeba w szkole naprawić. To co ona spostrzegała — to było prawie nic. Cieśla Damroszek wytknął palcem i dziury w podłodze, i oberwane zawiasy u drzwi, i pękniętą tablicę, i całą masę innych równie ważnych usterek.

Kilka godzin debatowano nad tym, jak można doprowadzić budynek do jako takiego stanu. I tu głośno wystąpił ku niezmiernemu zdziwieniu Agnieszki — sam Kustosz.

— Gadamy i gadamy, ale mówię wam, że gadaniem nic nie zrobimy. Po mojemu, to powinno być tak: co kto może, niech pomoże. Co kto potrafi. Ja tam szyby powstawiam. Niech ta! Moje dzieciaki też by przecie zimą tu marzły. A Damroszek niech pozbija ławki...

Agnieszka była zachwycona.

— To już zupełnie Komitet Rodzicielski — dodała.

— A komitet — przyświadczył twardo Kustosz.

Tak to w Łazach rozpoczęła się „bitwa o szkołę", którą kierowała Agnieszka. Każdego popołudnia ostatnich dni wakacji w budynku szkolnym rozpoczynał się prawdziwy ruch. Naprawiano gospodarskim sposobem podłogi i ławki, bielono ściany, Kustosz wprawiał brakujące w oknach szyby. Mało tego — uprzątnięto nawet plac pod przyszłe szkolne boisko.

Agnieszka cieszyła się każdym nowym osiągnięciem. Świeżo odnowiony budynek napawał ją coraz to większą radością. Chodziła koło niego z wielką troską o najdrobniejszy nawet szczegół, oglądała klasy szkolne. Ale najwięcej ucieszyli się wszyscy, gdy pewnego dnia przyszedł do Łaz transport nowych ławek — rezultat starań Agnieszki w powiatowym wydziale oświaty.

*

AGNIESZKĘ Budzyńską poznałam dwa lata temu, kiedy to nie zrażając się największymi trudnościami próbowała organizować wzorową szkołę wiejską. Nie uciekła z Łaz pomimo, że tak bardzo tęskniła za wielkomiejskim życiem. Wytrwała na powierzonym jej odcinku całe dwa lata. I dziś nie ma w Łazach gospodarza, który by nie mówił o młodej nauczycielce z szacunkiem i uznaniem dla jej pracy.

Kiedy w tym roku odwiedziłam Budzyńską w Łazach, na kilka dni przed zakończeniem roku szkolnego — zastałam ją w maleńkiej kancelarii, pochyloną nad jakąś kartką papieru. Była najwyraźniej zmartwiona.

— I to musiało przyjść właśnie teraz, kiedy już tyle włożyłam tu pracy — poskarżyła mi się zaraz po przywitaniu, podsuwając rozłożony papier.

„Wydział szkolnictwa podstawowego przy Ministerstwie Oświaty w Warszawie zawiadamia ob. Agnieszkę Budzyńską o skierowaniu jej do szkoły wiejskiej w Budziskach, na stanowisko kierownika..."

Taka była mniej więcej treść.

Agnieszka przemyślała już ją głęboko. Trudno jej było pogodzić się z myślą opuszczenia Łaz na stałe. Na każdym kroku widziała tu swoje osiągnięcia, cieszył ją każdy sukces powierzonej jej opiece młodzieży. Przebiegała myślą: pierwsze miejsce w skali wojewódzkiej zajęło właśnie przez nią powołane do życia koło młodych przyrodników, trzecie miejsce zdobyła szkoła w konkursie o jak najmniejszą ilość ocen niedostatecznych.

W tym roku na Agnieszkę Budzyńską czeka szkoła w Budziskach, nie wiedzieć w jakim znajdująca się stanie. Może potrzebuje jeszcze większej troski i opieki niż szkoła w Łazach? I Agnieszka wie, jak ma rozumieć pismo z Ministerstwa, odwołujące ją na inny teren pracy nauczycielskiej. Wie, że czekają ją nowe zadania, nowi ludzie i nowa młodzież. Pierwszy etap pozostawiła za sobą bogaty w osiągnięcia i wysiłki, do drugiego etapu staje silniejsza o doświadczenia zdobyte w Łazach Że w Budziskach czekają młodą nauczycielkę trudności — to pewne. Ale Agnieszka na pewno tam pojedzie.

DOKOŃCZENIE ZE STR. 5

męża, starego komunisty — zdruzgotane.

Odnosi się to również do przedstawicieli inteligencji. Inżynier chemii, Kress, i jego żona długo żyli na marginesie walki ze złem. Lecz oto wraz z uciekającym przed pogonią Heislerem wtargnęła do ich cichego mieszkania groza. Oboje przeżywają długie godziny wyczerpującego napięcia. Gdy zaś bezpośrednie niebezpieczeństwo odeszło od nich, Kressowie uświadamiają sobie nagle, że dzięki Heislerowi odnaleźli swą właściwą drogę, odnaleźli — siebie.

W jaki to sposób rysuje się przed nami zasadniczy, naczelny temat tej wielkiej symfonii cierpienia, trwogi, grozy i walki, jaką jest cała twórczość Anny Seghers? Autorka stara się przeniknąć tajniki duszy ludzkiej. Nie chodzi jej bynajmniej o przedstawienie psychologiczne, ani o **duszę ludzką „w ogóle"**, ale o uchwycenie istoty człowieka w odniesieniu do jego najwyższych wartości moralnych i to człowieka naszej epoki, ściślej zaś biorąc — człowieka, który zaangażował się w walkę ze złymi siłami tej epoki, z bezprawiem, przemocą, krzywdą i wyzyskiem. Co zaś jest szczególnie znamienne to to, że Anna Seghers najwięcej uwagi i maksimum swego wysiłku pisarskiego poświęca członkom klasy robotniczej, ich życiu, ich trudom, ich dążeniom.

Klasa robotnicza w literaturze niemieckiej wystąpiła po raz pierwszy tak tłumnie, z takim rozmachem i takim literackim sukcesem. Po raz pierwszy dzięki Annie Seghers ukazano robotników nie tylko jako nosicieli i bojowników ideału postępu i sprawiedliwości społecznej, ale ukazano także te głęboko tkwiące w ich duszach siły, które sprawiły, że walczyli oni o te ideały, że cierpieli dla nich, że dla nich ginęli. Bodaj po raz pierwszy dzięki Annie Seghers dano nam tak wyczerpującą odpowiedź na pytanie: w czym tkwiła tajemnica tego, że ludzie nie wierzący w życie nadprzyrodzone i w nieśmiertelność duszy zdobywali się na przezwyciężenie największych własnych słabości ludzkich, że znosili najstraszliwsze męczarnie i pokonywali strach przed śmiercią a nawet ginęli spokojnie i z godnością. Odkrycie zaś tych tajemnych sprężyn heroizmu nie było celem autonomicznym dla autorki. Anna Seghers swą twórczością wnosi swój wkład w dzieło odrodzenia moralnego i społecznego świata współczesnego. **To jest taka literatura, która jest jednocześnie czynem:** wyraża najwyższe osobiste zaangażowanie się pisarza w świat, który stał się przedmiotem jego trudu i dociekań pisarskich. Wszystkie elementy tworzywa literackiego — takie, jak obserwacja, wizja artystyczna, język — podporządkowane zostały najściślej temu naczelnemu celowi: ukazaniu cierpiącej i walczącej o lepszą przyszłość ludzkości, jej świadomości i jej najistotniejszych sił moralnych — by tym samym przybliżyć i zwielokrotnić jej pełne zwycięstwo.

Najistotniejsze czynniki wysiłku twórczego Anny Seghers, jej patos etyczny, cała jej społeczna, moralna osobowość — najwyższy literacki wyraz znalazły w „Siódmym krzyżu". W tej powieści (napisanej w najcięższych dla autorki latach wygnania w Meksyku, w latach 1937 — 1939, wśród tęsknoty za ojczyzną, w bólu i w przerażeniu z powodu losu, jaki stał się za sprawą faszyzmu jej udziałem) oszczędność, plastyka i kondensacja słowa, przylegającego najściślej do rzeczy i uczuć, do czynów i do snów — objawiły się w całej pełni.

W ŚWIETLE „Siódmego krzyża" poprzednie utwory Anny Seghers — od jej debiutu, bardzo udanego „Buntu rybaków z Santa Barbara" (1928), poprzez tom opowiadań „Na drodze do amerykańskiej ambasady" (1930), poprzez ostatni utwór pisany jeszcze w Niemczech przed 14-letnią tułaczką na obczyźnie, mianowicie powieść „Towarzysze" (1932), powieść „Droga przez luty" (1935) i „Ocalenie" (1937) — robią wrażenie preludiów, szkiców, prób i ćwiczeń, to zbliżających autorkę do szczytu jej osiągnięć, to ją nieco oddalających. Ale i utwory napisane po „Siódmym krzyżu" nie dorównują tej powieści. Z jednym może wyjątkiem — powieści „Umarli pozostają młodzi", napisanej w r. 1949.

Jest to podobnie jak „Siódmy krzyż" powieść o Niemczech faszystowskich. W „Siódmym krzyżu" Anna Seghers w najciemniejszej nocy niewoli, upadku i poniżenia własnego narodu tropiąc pozytywne, konstruktywne siły moralne zawierające zaródź przyszłego zwycięstwa dobrej sprawy — dała (pokonując własne zwątpienia i własną rozpacz) niezwykle sugestywny obraz Niemiec ujarzmionych przez hitleryzm. Niemiec w **przekroju horyzontalnym.** Szczupłemu, niemniej jednak niezwyciężonemu swą potęgą moralną obozowi antyfaszystowskiemu przeciwstawiła całe społeczeństwo niemieckie w jego różnych stopniach zakażenia przez hitleryzm — od bierności i strachu przed rzekomą wszechwładzą aparatu policyjnego aż do największego upodlenia i zbydlęcenia, dzikości i barbarzyństwa. Natomiast w powieści „Umarli pozostają młodzi" Anna Seghers ten sam właśnie temat przedstawiła **wertykalnie,** ukazując stopniowe owładnięcie narodu niemieckiego przez hitleryzm w ciągu 25-ciu lat, bo od roku 1918 aż do upadku Trzeciej Rzeszy. W tym realistycznym eposie odzwierciedlenie znalazło życie różnych warstw społecznych narodu niemieckiego, a przede wszystkim klasy robotniczej, jako najliczniejszej i jako tej, od której zależała klęska lub zwycięstwo sił faszystowskich. Poruszono w niej zasadnicze problemy niemieckiej rzeczywistości, przedstawiono istotę dyktatury faszystowskiej, a także historyczną winę i odpowiedzialność narodu niemieckiego.

Zgodnie z prawdą historyczną autorka ukazała hitleryzm jako wpływ imperialistycznych dążeń burżuazji niemieckiej, która w lęku przed klasą robotniczą, w trosce o zabezpieczenie swego stanu posiadania sprzymierzyła się z kołami junkierskimi i militarystycznymi, a nawet w gruncie rzeczy im powierzyła władzę w kraju. Powiodło się jej to dlatego, że w rozstrzygającym momencie historycznym potężna liczbowo klasa robotnicza w Niemczech rozbiła się na dwa zwalczające się obozy: komunistyczny i socjaldemokratyczny, którego kierownictwo udzieliło poparcia rekacyjnemu sprzysiężeniu przeciwko narodowi niemieckiemu.

Odsłonięcie działania całego mechanizmu i imperialistycznych sił w Niemczech aż do katastrofy narodowej włącznie było przedsięwzięciem wymagającym olbrzymiego wysiłku. I przedsięwzięcie to powiodło się Annie Seghers. Nikt, kto chciałby wniknąć w tajemnicę hitleryzmu, kto by chciał poznać źródła jego potęgi i jego rozwoju, nie znajdzie lepszego przewodnika niż powieść „Umarli pozostają młodzi".

Ale autorce chodziło jeszcze o co innego: o nakreślenie wyczerpującego obrazu narodowego ruchu oporu przeciwko narastającemu złu — we wszystkich jego etapach i postaciach; o przedstawienie także pozytywnych, rewolucyjnych tradycji dziejów narodu niemieckiego. Jednak ten zamysł powiódł się jej tylko częściowo. Nie udało się Annie Seghers w sposób artystycznie przekonywający przedstawić partii komunistycznej jako jedynej bojowniczki o dobro narodu, jako przywódczej siły całego antyfaszystowskiego obozu — tak, by można było uwierzyć, że zdoła ona pokonać gigantyczne zło faszyzmu.

Niemniej jednak powieść „Umarli pozostają młodzi", dzięki swej socjalnej i historycznej zawartości, spełnia poważną rolę w dzisiejszym procesie demokratycznej odbudowy społecznego i duchowego życia Niemiec. Jest jednocześnie cennym orężem w walce z nowym groźnym niebezpieczeństwem: z neofaszyzmem.

„Niebezpieczeństwa masowej zagłady zarówno świadom jest robotnik fabryczny w Chicago — powiedziała raz Anna Seghers — **jak chłop kołchoźny w Związku Radzieckim, rybak islandzki, jak Murzyn w dżungli afrykańskiej".** Jedna z najwyższych spośród doczesnych spraw, sprawa pokoju zjednywa wszystkich ludzi, ożywionych dobrą wolą.

Ale ludzi takich zjednywa również sama twórczość Anny Seghers, choćby nie podzielali oni światopoglądu autorki. Nie waham się wręcz powiedzieć, że musi ona zjednywać zwłaszcza katolików. Musi zaś zjednywać dlatego, że katolicyzmowi nie może być obce nic, co wyraża istotę ludzką w jej najwyższym wysiłku moralnym, co wyraża wiarę w sens życia, sens trudu, sens cierpienia, co wyraża konieczność zaangażowania się po stronie sił pozytywnych w walce z przemocą, okrucieństwem, niesprawiedliwością i wyzyskiem. A to właśnie mieści się w twórczości Anny Seghers, zwłaszcza w jej szczytowych momentach.

Aleksander Rogalski

BRONISŁAW MAMOŃ

CHYBIONA OPOWIEŚĆ

W interesującym wstępie do „Św. Joanny" Bernard Shaw zrobił znamienne wyznanie: „Gdybym nie miał czegoś nowego do powiedzenia o Joannie, to przez pięć minut bym ani siebie, ani czytelnika nie zajmował".

Oczywiście, każdy pisarz powinien mieć świadomość, czy to, co powie, jest istotnie konieczne, nowe... Czy wersja świata, jaką zamierza dać w swoim utworze, jest jego wersją. Czy wyrasta z jego widzenia spraw. W stosunku do książek, które podjęły trud ukazania losów życia wybitnych pisarzy, czytelnik ma szczególnie wysokie wymagania. W ostateczności można „spartaczyć" powieść o jakimś sześciorzędnym poecie doby romantyzmu, lub neoromantyzmu, ale nie można — o Mickiewiczu, Słowackim, Norwidzie, Wyspiańskim, Żeromskim... Pisarze ci wciąż żyją poprzez swoje dzieła, wywierają wpływ na umysłowość współczesnego odbiorcy, może nie mniejszy niż w latach, w których działali.

Z niecierpliwością czekałem na zapowiedzianą przez PIW powieść o Żeromskim Adolfa Sowińskiego *). Jakież było moje zdumienie, gdy na okładce przeczytałem „Lata szkolne".

Zamiast vie romancée — tylko wąski skrawek z życia Żeromskiego. Skrawek jeszcze zamazany, o niewyraźnych kolorach, chciałoby się powiedzieć: utopiony w pożytecznych może (ale nie w ramach beletrystyki) rozważaniach, spostrzeżeniach, wnioskach natury ekonomicznej, socjologicznej, politycznej z drugiej połowy XIX wieku. Nie należy tego rozumieć, że chciałbym zobaczyć Żeromskiego odseparowanego od konfliktów historii. Wręcz inaczej. Podkreślam z całym naciskiem, że plusem książki Sowińskiego jest metoda przedstawiania zjawisk indywidualnych w ich zbiorowym powiązaniu... I że należy mu zapisać na listę osiągnięć to, że dał nam przekrój struktury społeczeństwa polskiego z ostatnich dziesiątków ubiegłego stulecia, że dynamizmu historii nie zwęził do jednostkowych spraw i konfliktów Żeromskiego, że pokazał mechanizm wyzysku i krzywdy chłopa i robotnika z okresu narodzin i panowania burżuazji. Ale istnieje jakaś ogromna dysproporcja między tym, co nam autor powiedział o Żeromskim, a tym, co o epoce. A co więcej — i to jest chyba zarzut natury artystycznej — Sowiński nam wiele powiedział (rzeczy zresztą nie nowych) ale mało ukazał. Ubóstwo obrazów, stosowanie komentarza. Jakaś „referatowa" epika. Brak skrótowości i lakoniczności **)

W czasie czytania opowieści o Żeromskim odnosi się jeszcze jedno niemiłe wrażenie: my skądś już to znamy, jest to powtórna lektura jakiejś książki, którą kiedyś czytaliśmy. Ale zapomnieliśmy początku i końca. Czyżby brak samodzielności w interpretacji lat szkolnych Żeromskiego? Bądźmy szczerzy: „Lata szkolne" są trochę szare, nudne — nie biorą; jeśli wzruszają, to nie dlatego, że autor opisał sugestywnie jakieś zdarzenia z trudnego życia pisarza, ale dlatego, że samo wyliczenie jakiegoś faktu z lat szkolnych młodego Żeromskiego w wyobraźni kojarzy się z dawnymi wzruszeniami i wspomnieniami z książek autora „Ludzi bezdomnych".

Weźmy do ręki „Dzienniki" Żeromskiego z okresu kieleckiego i przeczytajmy je od początku do końca, a przekonamy się, ile w nich jest życia. Luźne notatki, fragmentaryczne zapiski — a ile mówią o temperamencie Żeromskiego, o sprzecznościach jego natury (tych dwu reakcjach, idących w górę i w dół, w kierunku dobra i zła), tak bardzo ludzkich i bliskich każdemu. Można by wprost zbudować portret Żeromskiego z czasów pobytu w szkole kieleckiej na podstawie „Dzienników". Pierwszy znamienny rys — to wielka fluktuacja przeżyć wewnętrznych (ustawiczne przeskoki od stanów skrajnego zniechęcenia i smutku do stanów niezrównoważonej radości, poczucia mocy). Żywość usposobienia, pasja dla wiedzy i nauki, ogromna chłonność intelektualna (czego on nie czytał?), benedyktyńska wprost pracowitość, rzetelność w przygotowaniu się do pracy pisarskiej. Ileż pięknych sprzeczności łączył w sobie młody Żeromski. Marzyciel i idealista. Człowiek trzeźwy i ogromnie „realny". Jakże każdego musi wzruszać ten wprost imponujący maksymalizm moralny, wyrażający się w ustawicznej kontroli i postanowieniu „muszę być inny". Ogromna, wszechogarniająca miłość, współczucie wobec każdego człowieka, a szczególnie wobec tego, który cierpi, znosi upokorzenia, niedostatki. Wielka wrażliwość na piękno natury. Miłość tak prosta i tak bardzo ludzka do matki, ojca, domu rodzinnego. Głód metafizyki i żarliwa religijność, a wreszcie obojętność wobec tych problemów. Pragnienie pełni życia, rozwinięcia wszystkich swych możliwości i bezsilność tego pragnienia. Oto zaledwie niektóre elementy tej różnorodnej „materiae poeticae", która dawała takie możliwości epikowi, a których nie wykorzystano.

Opowieść o Żeromskim zamyka się z uczuciem jakiegoś niedosytu... no i żalu do autora, że zawiódł nasze nadzieje, bo spodziewaliśmy się czegoś więcej, nieskończenie więcej.

*) A. Sowiński, „Lata szkolne". Opowieść o Stefanie Żeromskim, s. 338, PIW 1954.

**) Kiedy zastanawiam się nad tym problemem, pamięć podsuwa mi inną książkę, należącą też do powieści monograficznych — „Barwę świata" Zenona Skierskiego. Książka licząca niewiele więcej niż 200 stron, a przecież zawarła taki kawał bujnego życia wielkiego malarza realisty — Chełmońskiego. Jakich tam rzeczy nie pomieszczono! Artysta w procesie tworzenia, zbierania materiału, w chwilach zwątpień i zrywu twórczego, współczucia i buntu wobec niesprawiedliwości, ucisku i poniżenia człowieka. Środowisko, szkoła, wyprawy za granicę, przyjaciele... i momenty samotnej zadumy nad pięknem życia, sztuką, przemijalnością czasu, sławy, uznania. I artysta, i epoka, i ludzie (nawet ci marginesowi) mają swoją barwę, kolor — żyją.

SPÓR O PRZEKŁAD „ŻELAZNEGO MIASTA"

Listy do Redakcji

Obywatelu Redaktorze!

W numerze 32 tygodnika „Dziś i Jutro", w artykule poświęconym mojemu tłumaczeniu powieści (niesłusznie nazwanej przez autora artykułu „zbeletryzowanym reportażem") L. Browna pt. „Żelazne miasto" ob. Jerzy Herbst oskarża tłumacza i redakcję o „brakoróbstwo". Nie sądzę, aby podobny zarzut był słuszny, a w każdym razie zupełnie nieuzasadnione są pretensje pod adresem redakcji, której — w wielu cytowanych przez recenzenta wypadkach — przeciwstawiałem własną koncepcję literacką.

Jednakże recenzent — chociaż stwierdza, że „cała powieść jest napisana w żargonie murzyńskim, z dużym dodatkiem sloganu, mniej znanych idiomów i gwary więziennej" — uważa, że szesnaście zacytowanych przez niego „najoardziej symptomatycznych przykładów błędów" dostatecznie kwalifikuje książkę na potępienie. Myślę, że nawet gdyby owych szesnaście zarzutów okazało się w pełni słuszne, to i wtedy przy tego typu tekście nie byłoby podstaw do podobnie surowej oceny.

Tymczasem z zarzutów skonkretyzowanych przez autora artykułu jedynie dwa są jak najbardziej słuszne i za popełnione błędy biję się mocno w pierś (str. 14: sassing her back" powinno być: „odburkiwałem niegrzecznie" i str. 162 „outhouses" powinno być „ubikacje").

W następnych siedmiu wypadkach nastąpiło, sądzę, nieporozumienie; recenzent po prostu nie miał być może czasu, by dokładnie przeprowadzić analizę tekstu:

— str. 40 „manslaughter", to po polsku właśnie „zabójstwo" — to samo, co opisowe „niezamierzone spowodowanie śmierci" w odróżnieniu od „murder" — „morderstwo".

— str. 43. Over the Top" należało przetłumaczyć „przez szczyt", ponieważ jest to oderwana nazwa — tytuł jednej z wymienianych przez autora książki pozycji w bibliotece więziennej. Nie ma podstaw doszukiwać się w tym slangu.

— str. 58. „Lazy bones" wypowiedziane jest w żartobliwym tekście i dlatego też zupełnie świadomie przetłumaczyłem to „rozleniwione kości", aby nie zabijać humoru. Tłumacz radziecki, na przykład, we fragmencie tym poszedł na koncepcję humorystycznego cytatu z jakiejś piosenki o lentuchach.

— str. 101 „Thy get a better break" użyte jest w tekście dla określenia stałej cechy (już nabytej i bezustannie występującej) białych robotników, dlatego też ma sens „mają większe prawa". Słowo „szanse" byłoby tu, według mnie, błędne, a nawet fałszywe merytorycznie. W pierwszej części dyskutowanego zdania istotnie dodałem (i o konieczności tego przekonałem redaktora książki) słowa: „mimo że mają białą skórę". Jest to właściwie powtórzenie już raz wypowiedzianej myśli autora książki, konieczne w tłumaczeniu polskim dla takiego uwypuklenia sensu zdania, by wiernie oddać klimat oryginału.

— str. 113. W tekście oryginalnym istnieje nieprzetłumaczalna gra słów („bird — shot" i „buck — shot") i aluzja do „jailbird" (więzień) i poranionych pleców więźnia („back" — podobnie wymawiane jak „buck"). Tłumaczenie wg recepty „tłumacza przysięgłego" całkowicie zabiłoby zjadliwość rozmowy strażników więziennych. Użyłem tutaj ekwiwalentu literackiego, co absolutnie nie zmienia sensu merytorycznego sceny i intencji autora.

— str. 212. W żartobliwych słowach „two ruptured ducks winging South" recenzent widzi idiom, gdy tymczasem autor powieści kładzie akcent wyraźnie na żart powiedzenia, używa bowiem nawet słowa „winging" zamiast „heading". Nie wolno mi było w tym wypadku tłumaczyć tego: „zdemobilizowani żołnierze".

— str. 244. „You can't set there no more" nie znaczy, jak proponuje recenzent: „nie wolno wam tutaj więcej siedzieć". Zdanie to (w oryginale następuje ono po dłuższym wyliczaniu widzianych w śnie osób) rozumieć należy bezosobowo: „you can't" — to po prostu „nie można", a dalej, dosłowny sens: „nikogo więcej ustawić czy „wyliczyć", czy „zauważyć".

Pozostałe osiem zastrzeżeń autora recenzji to w moim pojęciu żądanie zbytniej dosłowności tam, gdzie akcja, czytelność i jednolitość koncepcji wymaga nie tyle retuszu, ile ekwiwalentu polskiego, pozornie słownikowo różnego od oryginału, acz merytorycznie z nim zgodnego. Wszystkie osiem przykładów dyskutowałem szeroko przed wydaniem książki z redaktorem i takie a nie inne tłumaczenie nie jest sprawą przypadku.

— str. 8. „fair trial" posiada pierwsze słownikowe znaczenie „sprawiedliwy proces", ale tylko pierwsze i tylko w oderwaniu. Przetłumaczyłem „szczegółowy proces" i słowa te włożyłem w usta niewykształconego Murzyna, ponieważ jemu chodzi w tekście nie o sprawiedliwy wyrok czy bezstronny przewód sądowy, ale — jak jasno wynika z tekstu — jedynie o szansę pełnego przedstawienia swojej sprawy w sądzie.

— str. 77. Recenzent proponuje „wszystko, co mi z tego przyszło, to tylko siwe włosy". Byłoby to tłumaczenie dosyć ciężkie, „słowo po słowie". Wolałem w tym wypadku pójść na koncepcję zupełnie innego ekwiwalentu, w moim pojęciu zgodnego z myślą autora.

— str. 109. Przy dosłownym tłumaczeniu w oderwaniu od tekstu powinno być istotnie „mówisz prawdę" zamiast „kłamiesz". Jednakże w słowach tych mieści się w oryginale iron'a i z sensu wynika, że mówiącemu idzie właśnie o to, że jego rozmówca kłamie.

— str. 124. „Zamierzyłeś się na niego" zamiast „on ciebie uderzył". Zupełnie świadomie zmieniłem to zdanie w tłumaczeniu sceny przesłuchania aresztowanego, gdyż inaczej fragment ten po polsku byłby niejasny. W niczym nie zmienia to sensu całego zdarzenia.

— str. 159. Świadomie przetłumaczyłem „shot at" na „zabici", gdyż z oryginału wywnioskowałem, że dwaj wagonowi zostali w wyniku ostrzelania zabici. Chodziło mi o uwypuklenie tego wypadku w tym samym stopniu, w jakim uwypuklony jest on w oryginale, a co bym zupełnie zagubił używając słowa „ostrzelani". Do identycznego wniosku doszedł analizując zdanie tłumacz radziecki.

— str. 176. „Z przykrością o tym mówię, ale naprawdę czasami ledwo udawało mi się oprzeć zakusom". Autor recenzji proponuje: „Nie chcę się tym chwalić, ale miałem kilka bardzo niebezpiecznych sytuacji". Pierwsze zdanie zmieniłem, by konsekwentnie utrzymać koncepcję sylwetki bohatera, drugie zdanie ma merytorycznie ten sam sens, co tekst proponowany przez autora recenzji, i bardziej mi odpowiada literacko.

— str. 211. „All except from captain up, that is" — nie można przetłumaczyć (jak proponuje recenzent): „to znaczy z wyjątkiem wszystkich począwszy od...", gdyż byłoby to błędne, natomiast zdanie to posiada znaczenie: „To znaczy wszyscy z wyjątkiem kapitana i wyższych stopniem. „I wyższych stopniem" opuściłem, gdyż tekst byłby zbyt ciężki, a ogólny sens absolutnie nie dopuszcza możliwości zrozumienia przez czytelnika, że wyżsi stopniem byli Murzynami.

Jak już powiedziałem, przyznaję się do dwóch niezrozumień tekstu i za wytknięcie ich dziękuję recenzentowi. Jednakże uważam, że tego typu recenzowanie książek, wyłącznie okiem „tłumacza przysięgłego" przynosi krzywdę (jak to widzimy na przykładzie) zarówno tłumaczowi, jak i wydawnictwu. Tłumaczenie literackie rządzi się nieco innymi prawami: uznaje zasadę ekwiwalentu literackiego, stawia na czołowym miejscu język, jego płynność, zachowanie klimatu oryginału i myśli autora, wymaga szczegółowej analizy tekstu i intencji twórcy dzieła. Ocenę książki tłumaczonej dać można jedynie wtedy, gdy uwzględni się wszystkie te elementy. Ważne jest także i wytknięcie usterek w tłumaczeniu zdań, ale podane przykłady nie powinny być prawie wyłącznie rezultatem nieporozumienia lub odmiennej koncepcji recenzenta, choć może równie dobrej lub lepszej od koncepcji tłumacza.

Jan Zakrzewski

Do Redakcji „Dziś i Jutro"

W związku z listem Ob. Jana Zakrzewskiego uważam za konieczne wyjaśnić następujące sporne punkty:

1) „Two ruptured ducks" ponad wszelką dyskusję można przetłumaczyć tylko jako „zdemobilizowani żołnierze", a w żadnym wypadku jako jakieś „gąsiory". W Webster's New Collegiate Dictionary na str. 742 ob. J. Zakrzewski znajdzie nie tylko wszelkie tak potrzebne mu wyjaśnienia, ale nawet i wizerunek odznaki owego zagadkowego dla niego „ptaka".

2) „Over the Top" tj. „Do ataku" jest zbiorowym tytułem bardzo popularnej podczas ostatniej wojny serii patriotycznych powieści, których druk został sfinansowany przez sławetny „American Legion". Str. 807 Funk & Wagnalls College Standard Dictionary niewątpliwie rozwieje wszelkie wątpliwości i na ten temat.

3) Idiom „lazy-bones" oczywiście nie jest żadnym „humorem, którego nie należało zabijać". Jest to dokładny odpowiednik polskiego „lenia". Str. 477 Webster'a również i w tym wypadku niewątpliwie przekona tłumacza „Żelaznego miasta" co do słuszności mego zarzutu.

Co się tyczy innych przykładów, to muszę stanowczo stwierdzić, że mimo rozważań ob. J. Zakrzewskiego na temat ekwiwalentów literackich, zachowania klimatu oryginału, analiz intencji autora, rzekomych gier słów itd., — nadal nie rozumiem np. dlaczego tłumacz uważał za konieczne zmienić „mówisz prawdę, Paul" na „Kłamiesz, Paul". Z zasugerowanej przez J. Zakrzewskiego rzekomej ironii nie znalazłem w oryginale ani śladu. Albo z jakich powodów należało np. „poprawić" autora i przetłumaczyć „on ciebie uderzył" na „zamierzyłeś się na niego", lub ...że wszystko, co mi z tego przyszło, to tylko siwe włosy" na ...że ja bujam albo bajeruję was byle czym?" Rzecz oczywista, że takie „poprawki" całkowicie fałszują intencje autora i w żadnym wypadku nie mogą być usprawiedliwione tym, iż „inaczej fragment ten po polsku byłby niejasny"(!) lub, iż obie koncepcje są „ekwiwalentem literackim". Jasne jest, iż takiego rodzaju błędy przekładowe całkowicie wykluczają wszelką możliwość zakwalifikowania takiej pracy jako dobrego i wiernego przekładu artystycznego. Sądzę, że powyższa analiza jest również wystarczającą odpowiedzią na wysunięty przez ob. J. Zakrzewskiego „zręczny" zarzut na temat „oka tłumacza przysięgłego". Również nieuzasadniona jest pretensja, iż zacytowałem „tylko" 16 przykładów błędów przekładowych. Pozostałych kilkadziesiąt przykładów trzymam do dyspozycji tłumacza i redakcji „Czytelnika".

Jerzy Herbst.

Wartość katolicyzmu

(Dokończenie ze str. 3)

...ntarystycznym i poznawczym. Nie może być oderwana od rzeczywistości; nie byłaby wtedy twórcza. Musi się przejawiać w ramach konkretnej struktury społecznej. Obowiązuje realizm. Musimy wniknąć jak najgłębiej w samą istotę tej struktury, która już istnieje, która się wyłania. Musimy ją sobie przyswoić, musimy w niej rozpoznać wszystko, co jest nam bliskie, w czym może się wyrażać nasza miłość, co może być ucieleśnieniem naszej wiary. Musimy odnaleźć adekwatność między naszymi przekonaniami, treścią pojęcia miłości bliźniego — a strukturą nowego porządku: strukturą świata socjalistycznego.

Przeniknięcie katolicyzmu do struktury socjalizmu musi się dokonać nie poprzez rezygnację z jego istoty, ale — przeciwnie — przez pełne jej urzeczywistnienie. Musi się spełnić nie poprzez próby przekształcenia struktury socjalizmu czy zamienienia jej na inną, ale na drodze zachowania całej jej swoistości i właściwego jej porządku. W tym zespoleniu przejawić się powinien uniwersalizm katolicyzmu.

Katolicyzm musi być żywy i wiązać się z tym, co jest żywe. Inaczej nie może być twórczy. Od tego zależy jego istnienie w nowej strukturze świata.

Jest on zresztą żywy w swej istocie, jest bowiem transpozycją tych samych niezmiennych prawd na wciąż zmienną i narastającą rzeczywistość. Dlatego wciąż musi znajdować nowe formy, dlatego w swej istocie jest postępem. Aby odkryć ten postępowy charakter katolicyzmu trzeba go rozumieć i trzymać się tylko tego, co jest w nim istotne, co jest jego treścią — i być śmiałym.

Poprzez pełne zaangażowanie w ramach nowego porządku musi się ujawnić uniwersalizm katolicyzmu. Jest to jedyna droga, którą każe nam wybrać z jednej strony sama rzeczywistość, z drugiej — nasze zasady i przekonania. Największym złem byłaby bierność. Kładłaby na nas cały ciężar odpowiedzialności, jednocześnie stawiałaby nas poza marginesem życia. Nasz katolicyzm czyniłaby fikcją. Odrywałaby go od świata, przed którym rewolucja socjalistyczna zarysowuje nowe, szerokie perspektywy.

Musimy dać dowód społecznej wartości religii, musimy wykazać, że wiara i światopogląd katolicki nie tylko nie stanowią przeszkody w udziale w walce, jaką prowadzi klasa robotnicza, nie tylko nie zmniejszają dynamiki tej walki, nie ograniczają inicjatywy, ale dostarczają dodatkowych przesłanek dla pełnego zaangażowania, są jeszcze jednym potężnym bodźcem.

Wszystko to są postulaty, które warunkują ujawnienie wartości katolicyzmu w świecie socjalistycznym.

Jakie to będą wartości?

W odniesieniu do cywilizacji najistotniejszym elementem katolicyzmu jest miłość bliźniego. Miłość ta może znaleźć swój wyraz i urzeczywistnienie w ramach porządku socjalistycznego. Dlatego powinna stać się potężnym motorem działalności człowieka, powinna skierować całe jego życie ku pracy nad zapewnieniem człowiekowi szczęścia w ramach sprawiedliwego ustroju społecznego.

Głęboki humanizm katolicyzmu zwraca nas ku wszystkim sprawom ziemi. Sprawia, że jest nam najbliższe wszystko, co dotyczy człowieka: kultura, cywilizacja, postęp techniczny. Światopogląd katolicki, ujawniając zawarty istotny i głęboki sens w rzeczywistości, dostarcza dodatkowych motywów dla pełnego zaangażowania w pracy nad przebudową świata. Potrafi natchnąć i ujednolicić całe życie człowieka, wszystkie jego aspiracje i dążenia.

Wierzymy w to, są to nasze najgłębsze przekonania. Swój sens zdobędą jednak tylko wtedy, gdy zostaną urzeczywistnione. Ostatecznie bowiem problem wartości katolicyzmu w świecie socjalistycznym nie leży na płaszczyźnie teorii. Rozstrzygnie go przyszłość. Zadecyduje o nim wysiłek nas wszystkich.

Jerzy Krasnowolski

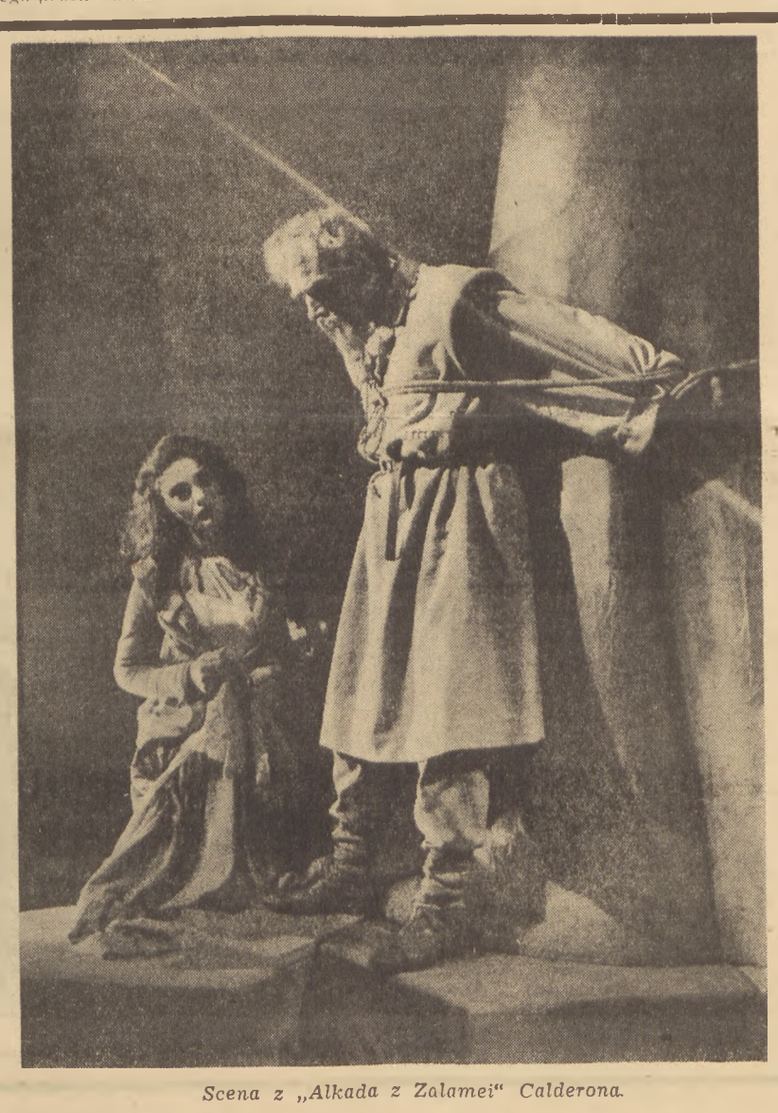

Scena z „Alkada z Zalamei" Calderona.

TEATR Domu Wojska Polskiego jest sceną stołeczną, która w ciągu kilkuletniej pracy nie stworzyła własnego oblicza artystycznego, własnej linii repertuarowej, własnej widowni, zwartego zespołu aktorskiego. Nieodparcie nasuwa się wrażenie jakiejś stałej prowizoryczności, zaczynania od nowa, nieumiejętności wyciągania wniosków zarówno z porażek jak i z osiągnięć. Teatr, na którym spoczęło odpowiedzialne zadanie upowszechniania sztuki w bardzo różnych kręgach odbiorczych — musi rozporządzać doskonałymi warunkami technicznymi, posiadać rozważne kierownictwo artystyczne, cieszyć się rozumną opieką władz zwierzchnich. Tymczasem nie zawsze się tak działo. „Zagłada eskadry" Korniejczuka, o dużej doniosłości społecznej (120 przedstawień) nie „wyszła" gdyż, mimo wysiłków Ludwika René, nie udało się jej tak dalece „ukameralnić", wtłoczyć na maleńką scenę teatru, „Baśka" Stefczyka, sztuka zdecydowanie słaba, nie przyniosła pożytku ani widowni, ani aktorom. Nie wiadomo dlaczego wyciągnięto z lamusa ramotę Radziwiłła „Panie Kochanku". Z „Wielkiego człowieka do małych interesów" Fredry zrobiono rzecz bez wyrazu, artystyczne ni to ni owo. „Stefan Czarniecki" Korcellego poprawił nieco reputację sceny, sztuka interesująca przyniosła widowni garść wiedzy z historii wojska polskiego, została dobrze wystawiona. I oto doszliśmy do „Alkada z Zalamei". Tutaj już przy tytule rodzą się wątpliwości, zapytania. Dlaczego właśnie Calderon? Dlaczego teatr hiszpański? Czy nie jest błędem wystawienie tego dramatu przed sztuką Kuśmierka „Rok 1944", która bardziej byłaby zharmonizowana z obchodami Dziesięciolecia Polski Ludowej? Niewątpliwie, posunięcie to wydaje się błędne taktycznie, ma jednak swoje inne ważne i celowe uzasadnienia.

Nie zgadzam się bowiem z twierdzeniem, że dla widowni cywilno-wojskowej nie można dawać sztuk z wielkiego repertuaru, których odbiór nie został sprawdzony przynajmniej na kilku scenach stołecznych i prowincjonalnych. Widownia ta jest nadzwyczaj chłonna, wrażliwa i równie silnie odczuwa fałsz artystyczny, tak częsty w sztukach współczesnych, jak i wzrusza się dziełem z prawdziwego zdarzenia. Można stwierdzić to na sali Teatru Domu Wojska Polskiego, zaobserwować, jak widownia zastyga w skupieniu nawet w czasie deklamacji „metrowych" monologów, siedzi zasłuchana w wiersz calderonowski, porwana wartkim nurtem akcji. Kontakt między widownią a sceną został nawiązany całkowicie.

Nie chodzi jednak o samą publiczność, lecz także o zespół aktorski, który w poprzednich przedstawieniach nie mógł wykorzystać w pełni swych możliwości. Należy pamiętać, że aktorzy nie tylko powinni służyć widzom swoją sztuką, ale również pogłębiać stale swoje doświadczenia i umiejętności. Dlatego uważam, że dramat ten, arcydzieło literatury światowej, spełnia na tej scenie swą rolę. Chodzi teraz o to, by nie powracać do dawnych błędów. Zespół ten, posiadający dobre siły, powinien być skompletowany, otrzymać energiczne kierownictwo artystyczne. Repertuar tego teatru mógłby uwzględniać w większej mierze pozycje klasyczne dramaturgii światowej, klasyczne sztuki radzieckie i polskie współczesne — wiążące się najogólniej z jego wojskowym charakterem.

„Alkad z Zalamei" Calderona jest w świetle jego olbrzymiej twórczości pozycją wyjątkową. Trudno wprost uwierzyć, że ten dramat, tak silnie związany z ziemią hiszpańską, ze swoją epoką, dramat, w którym działają tak wyraziście nakreśleni ludzie, powstał pod piórem autora mglistej epopei „Życie snem", melodramatycznego „Lekarza swego honoru", czy „Księcia Niezłomnego". Dlatego uporczywie przypisywano tę sztukę komediopisarzowi Lope de Vega, chociaż wspaniała, głęboka poetyckość wiersza, głęboko zarysowany kontur psychologiczny postaci nie pozwala przypuszczać, aby mógł ją napisać świetny, chociaż w innym rodzaju autor „Psa ogrodnika". Kultura Hiszpanii, kraju słynnego ze swych paradoksów, zna tego rodzaju niekonsekwencje, nurt mistycyzmu przepływa tam często obok nurtu rzetelnego realizmu, czasem przez karty dzieł jednego twórcy. „Życie snem" jest dzisiaj nieczytelne, natomiast „Alkad z Zalamei" nie przestaje zadziwiać bogactwem zawartej w nim wiedzy o świecie...

Nie pozwala zapomnieć o sobie stary, mądry chłop kastylski Pedro Crespo, który w zmaganiach z występnymi feudałami o prawo do ludzkiej godności, ani na chwilę, nawet w nieszczęściach, nie przestał być sobą — dumnym, wolnym człowiekiem pracy. W ciągu jednego dnia wali się w gruzy jego osobiste szczęście. Córka jego, Izabella, zostaje podstępnie zgwałcona przez kapitana don Alvaro, stacjonującego ze swym oddziałem we wsi, musi odejść do klasztoru, syn Juan opuszcza dom zaciągając się do armii — kaprys bezwzględnego panka niszczy cichy, spokojny dom. Ojciec Crespo zostaje sam. Ale przedtem wyrównuje swe rachunki z kapitanem — jako alkad wsi, skazuje go na śmierć.

Lecz o prawo do tej sprawiedliwości Crespo musi walczyć z całym możnym światem, potwierdzenie jej musi chytrze wydobyć z ust króla. Nie daje się jednak pokonać. Dumny, tragiczny pozostaje na placu tego wielkiego starcia, przedstawiciel tych „którzy, aby żyć, musieli włożyć więcej trudu i sprytu niż królowie rządzący całą Hiszpanią". *)

Dowiódł, że równość istnieje wobec bezspornych norm moralnych i że naruszenie ich, nie zważając na przywileje klasowe, mści się surowo.

Czy Pedro Crespo, alkad wsi Zalamea jest postacią prawdopodobną na tle ówczesnej historii? Historycy odpowiadają, że istniał w dziejach Hiszpanii okres, kiedy chłopi obdarzeni byli znaczną wolnością za swój udział w zwycięskiej wojnie z Maurami. Z tych czasów pochodzi dumna sylwetka alkada, który przerasta bez porównania marniejszych od niego moralnie przedstawicieli feudałów. Później straszliwy ucisk społeczny w kraju, chylącym się gospodarczo ku ruinie, sprowadzi stan chłopski do poziomu niewolnictwa, to jest do sytuacji, w jakiej się dziś znajduje. Tylko geniusz Calderona pozwolił postaci Crespa przetrwać wieki, pozostała ona symbolem moralnej czystości ludu, kształtującego w pracy i w trudzie swój stosunek do świata i do ludzi.

Koncepcja reżyserska Ludwika René poszła w dwóch kierunkach: wiernego oddania klimatu hiszpańskiego dramatu i właściwego określenia klasowego występujących w nim postaci. Dzięki temu dwa pierwsze akty mają charakter pogodny, niemal komediowy, tragiczne spięcie dramatycznych wątków przyniósł dopiero akt trzeci. Ten kontrast wewnętrzny dramatu jest jednak zgodny z konwencjami teatru hiszpańskiego, gdzie nie spotyka się prawie dramatów o jednolitym nastroju. Przedstawienie nie było ani nazbyt poetyckie, ani muzyczne, reżyser nie popełnił błędów, które zaciążyły na krakowskiej realizacji „Alkada" w 1951 roku. Surowa, doskonała oprawa plastyczna Zenobiusza Strzeleckiego nie rozpraszała uwagi widza na ornamentach, pozwalała ją skupić na sprawach zasadniczych. Rolę Crespa kreował Józef Kondrat i nareszcie znalazł się w swoim żywiole. Gra jego była skupiona, „wewnętrzna", zwarta, odznaczająca się wielką prostotą. Alkad z Zalamei w jego wykonaniu był chłopskim mędrcem, może aż zanadto niekiedy „intelektualnym". Z drugiej strony wzruszał swoją miłością ojcowską — gra jego wtedy była bardzo ściszona i intymna. Była to jedna z lepszych kreacji aktorskich, jakie widziałem ostatnio. I generał Don Lope pozostał w pamięci. Janusz Ziejewski stworzył sylwetkę charakterystyczną, wizerunek o cechach indywidualnych. Pojedynki słowne obu starych ludzi: chłopa i generała wypadły znakomicie. Wydaje mi się natomiast, że Jerzy Pichelski mógł wydobyć więcej charakteru z postaci kapitana Don Alvaro. Młodzież teatralna zagrała role dzieci Crespa: Juana (W. Kmicik) i Izabelii (M. Leśniewska) bardzo naiwnie, chociaż szczerze. Iskierka (J. Hodorska) niestety nie dopisała, nie była „w typie" hiszpańskiej markietanki. Ogólnie biorąc, w obsadzie aktorskiej znalazło się jeszcze wiele surowizny i ról niedopracowanych — ale całość trzymała się krzepko i to zdecydowało, że „Alkada z Zalamei" możemy zaliczyć do rzędu przedstawień udanych. Dla wymowy całości, dla utrzymania do końca jednolitej sylwetki Crespa — za zgodą tłumacza przełożono z ust alkada w usta Pisarza jedną z ostatnich kwestii: „Z łaski Króla tak stokrotnie sprawiedliwość nagrodzona". Crespo do końca nie pochylił się w pokornym ukłonie, pozostał sobą. Tak jak sobą zostali feudałowie: wyrachowani, pełni pogardy i pychy, odstępując od swych zasad postępowania tylko dla ogólniejszej racji, jaką była wówczas „zgoda" z chłopami. I prawdę tego podziału reżyser wydobył w pełni.

*) Słowa Beaumarchais.

STANISŁAW ZBOROWSKI

CHŁOP, GENERAŁ I KRÓL

MACIEJ RUDZIŃSKI

Smętek rozproszony

KRÓLEWICZ Z „DUMNĄ KRÓLEWNĄ" SIEDZĄ OKRAKIEM NA KLOCU DRZEWA. ROZPĘDZONY Z GÓRY KLOC BIERZE OSTRE WIRAŻE, WPADA Z IMPETEM DO JEZIORA. TRYSKA SREBRZYSTA FONTANNA... WRAŻENIE JEST TAK BEZPOŚREDNIE, ŻE GROMADA DZIECIAKÓW PODRYWA SIĘ Z PISKIEM. BOJĄ SIĘ MOŻE BRYZGÓW WODY NA EKRANIE?! WIDZĘ TERAZ ICH ROZCZOCHRANE GŁOWY: siedzą w kucki, tuż przed jasnym kwadratowym płótnem. Za nimi, już na ławkach, rozsiadły się dziewczęta i gosposie w chustkach, dalej gospodarze. Wprawdzie wszystkie bilety w kinie objazdowym są w jednakiej cenie, ale ową hierarchię na widowni ustala już widać miejscowy, ostrowiński obyczaj. Bileter nie miałby tu nic do roboty.

Wśród przygód, para królewska dobija wreszcie do małżeńskiej przystani... Syci wrażeń, za całych 1,20 zł. wychodzimy z pegeerowskiej świetlicy jak z wielkomiejskiego kina.

NOCNI GOŚCIE

Jest noc. Krysia, ośmioletnia córeczka miejscowego leśniczego, prowadzi nas rezolutnie. Zresztą trudno byłoby zabłądzić, nawet w ciemnościach. Do leśniczówki L.P. Ostrowin prowadzi przez pola prosta jak strzelił, szeroka aleja grabowa.

Nagle na ściernisku słychać odgłos kroków. Hałas się zbliża, wzmaga. Jakieś chrząkanie, rechot, przejmująco cienkie kwiczenie. Cała kawalkada, niewidoczna w ciemności, przewala się przed nami i oddala w kierunku pola.

Co to?

Leśniczy Nitecki ze śmiechem uspokaja. Ot, zwykła rzecz — dziki wyszły na żer...

Słyszymy teraz odgłos mlaskania. Nieproszeni nocni goście ucztują na kartoflisku. Jedzą łapczywie i z apetytem.

ŻYWICĄ PACHNĄCY SPACER

— Pół miliona złotych płaci nadleśnictwo rok rocznie za szkody wyrządzone przez zwierzynę w polu! Słyszy pan, pół miliona! — użalał się niedawno nadleśniczy ze Starej Jabłoni pod Olsztynem — Zbigniew Taranek.

Ale postawmy na jedną szalę tę niewątpliwie poważną kwotę, na drugą — zasługi dzików dla lasu, a wyjdzie jeszcze na to, że są one bardzo pożytecznymi zwierzętami. Że — kto wie — warto może zapłacić nawet owych 500 tysięcy złotych.

Przekonuję się o tym, maszerując z leśniczym Niteckim cienistą linią wśród sosnowych zagajeń. W darni, leśnym posuszu — pełno wszędzie głębokich bruzd. Jakby przejechał solidnym lemieszem. Bo też dziki są istotnie żywym „pługiem", który spulchnia w lesie glebę, niszcząc jednocześnie szkodliwe owady. Słowem — sojusznicy leśnika.

Rozmawiamy z braćmi Paździorkami — Józefem i Janem. Robotnicy ci, przybyli tu przed paroma zaledwie laty z Żywiecczyzny, są już dzisiaj w pewnym sensie okolicznymi „znakomitościami". Przodują mianowicie w żywicowaniu drzew.

— Nie filozofia — mówią. — Spałę, czyli okorowaną sosnę, nacinasz specjalnym narzędziem. Szramy w żywym miąższu sosny wyglądają jak żebra: taką też noszą nazwę. Wzdłuż nich spływa do podstawionego naczynia jak miód lepka, bursztynowa krew sosny. Żywica... Służy ona do wyrobu cennej terpentyny, kalafonii — stanowi więc nie małą pozycję w gospodarce leśnej. Pamiętajmy, że jeden robotnik obsługuje 800 spał, każda z nich daje w ciągu miesięcy letnich około 1,70 kg żywicy!

Zostały za nami smutne, piętnem naznaczone drzewa. Ciąży na nich wyrok: rok, dwa, po skończeniu żywicowania pójdą tu wyręby...

Pojezierze Mazurskie zajmuje przodujące miejsce w naszej gospodarce leśnej. Nadleśnictwo Stara Jabłonka, posiadające prócz Ostrowina 9 innych leśnictw, przeznacza rocznie do eksploatacji 100 ha lasu!

Owe cenne wiadomości zdobywam w czasie naszego leśnego spaceru. Opodal przecina nam drogę rzeczka, obok niej wzniesienie o charakterystycznym kształcie. Zatrzymuje się nad nim wyciągnięta ręka leśniczego.

— Proszę zgadnąć, w jakim wieku mogą być te drzewka?

Cóż u licha — myślę — czy to takie ważne? Pytanie jednak posiada pewne ukryte znaczenie, dość zasadnicze. Okazuje się bowiem, że owo wzniesienie jest po prostu niemieckim starym bunkrem. I właśnie rok jego budowy może odczytać fachowe oko leśniczego — na podstawie wieku rosnących na nim drzewek.

A więc tak. Umocnienia „obronne" powstały już w roku 1936, może 1937! Zasiekami i oczodołami strzelnic zwrócone ku południowym granicom...

Tuż za piaszczystą wydmą tafla wody otwiera zapraszająco szerokie, modre ramiona. Korzystamy z tego zaproszenia, bo nie ma to jak

Olsztyn w sezonie letnim, to niewątpliwie jedna z ruchliwszych i barwniejszych stacji kolejowych. Gwar przesiadających się letników, defilada plecaków i kolorowych szortów, przetaczanie kajaków, które już wkrótce „wypłyną" z wagonów na szerokie wody pojezierza.

Widok ten absorbuje uwagę. Ale gdy pociąg rusza pomału z peronu, powracam do otwartej na kolanach książki.

Powracam mimo woli do obrazów, które jeszcze tak świeżo mam w pamięci. Do owych „obronnych" umocnień nad rzeczką... Do poznanych przed paroma dniami Mazurów i przybyszów z innych dzielnic Polski: ludzi, których spotkałem przypadkiem w kinie, w polu, przy pracy lub wypoczynku.

Za oknami wagonu przesuwa się w całej swej krasie ziemia, która uwolniła się raz na zawsze z ciążącej w jej życiu zmory — „smętka". Ziemia, która pracuje i oddycha pełną radosną piersią.

Ucieka barwny film: zieleń lasu, modra tafla jeziora, pole, które wypoczywa w słońcu szeroko rozciągniętą, spracowaną ściernią...

Na drodze wozy złocą się od snopów zboża — jadą do stodół. Tak, jak zapewne w tej samej chwili w Ostrowinie.

Jak w całym kraju!

SMĘTEK ROZPROSZONY

CZESŁAW CZAPÓW

O FILMOWYCH ŻARTACH czyli O SPRAWIE POWAŻNEJ

JAK wiadomo, na VIII Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Karlovych Varach Wielką Nagrodę Festiwalu przyznano *ex aequo* komedii radzieckiej „Wierni przyjaciele" i dramatowi amerykańskiemu „Sól ziemi". Sprawa stworzenia dobrej komedii filmowej, wokół której toczyły się ostatnio zażarte dyskusje zarówno w Związku Radzieckim, krajach demokracji ludowej, jak i we Włoszech i Francji, wypłynęła jako problem szczególnie ważny i na ostatnim festiwalu filmowym w Karlovych Varach. Przyznanie pierwszej nagrody właśnie komedii, uznane powszechnie zostało za wezwanie do jeszcze staranniejszego i szerszego niż dotychczas zajęcia się sprawą komedii filmowej.

Nie jest to, wbrew pozorom, sprawa łatwa. Oczywiście, jak tego dowiedli Pat i Patachon, Flip i Flap, Eddie Cantor, Buster Keaton i inni, wywołanie śmiechu na widowni nie wymaga zbyt wielu intelektualnych wysiłków. Trudniejsze to jednak zadanie, jeśli twórca szanuje zarówno widzów, jak i siebie, a komedie traktuje jako rodzaj dzieła filmowego nie gorszy od innych.

Stanisławski powiedział kiedyś: *Z żartami nie ma żartów, to sprawa poważna, nawet bardzo poważna.* Powiedzenie wielkiego teatrologa i artysty pasuje świetnie do „żartów filmowych". W pracy nad realizowaniem komedii filmowej naprawdę „nie ma żartów". Każda przeszarżowana replika, każdy nieprzemyślany trick komediowy może łatwo zastąpić komediowy artyzm zwykłą wulgarnością, stającą się źródłem śmiechu, który demoralizuje i męczy.

I tu właśnie tkwi niebezpieczeństwo. Właśnie w tej łatwości wywołania śmiechu na widowni. Bardzo łatwo jest zrealizować komedię filmową, która wywoła niezamierzone reakcje u publiczności, zaprzęgnie śmiech w służbę złego społecznie stylu życia. Nic więc dziwnego, że historia kinematografii zna wiele wulgarnego komizmu, ale mało komedii, które cechuje prawdziwy artyzm komediowy.

*

Chaplin stworzył typ filmowej tragedii komicznej. Cechuje ją komizm w stylu Gribojedowa, Gogola i Czechowa. I przyznać trzeba, że komizm ten jest nieuchronnie związany z krytyką, z protestem wobec zła społecznego, że ma on zdecydowanie demaskatorski charakter.

Inny rodzaj stanowi tzw. pozytywna komedia filmowa. W komedii takiej krytykę i ośmieszanie ustawia się na dalszym planie. Tworzą one jakby tło dla ludzi nie komicznych, ośmieszonych, ale po prostu wesołych, a równocześnie reprezentujących pewne pozytywne postawy życiowe. Ten typ komedii do tej pory jeszcze nie wyszedł poza stadium eksperymentu, poszukiwania.

Komedia ta wymaga realizatorskich zabiegów pozbawionych na ogół pomocy tradycji i wzorów. Chaplin miał za sobą komedię Szekspira, Moliera, Beaumarchais, Ostrowskiego i innych. Zaś wszyscy ci twórcy filmowi, którzy postawili sobie za cel stworzenie pozytywnej komedii filmowej, nie bardzo mieli się na czym oprzeć. Nic dziwnego, że twórcze poszukiwania obfitowały w liczne błędy i nieporozumienia.

Kto widział czeski film „Wczasy z aniołem", ten miał możność obejrzenia doskonałego komicznie obrazu demaskowanych wad, stworzonego przez Marvana, oraz, zaiste smutnego, widoku „zglajszachtowanej" masy wesołych „pozytywniaków". W filmie tym pokazano nam typowy błąd wielu pozytywnych komedii filmowych, zrealizowanych w ciągu ostatnich kilku lat.

Przykłady takich błędów można by mnożyć. Celowo nie analizuję tu naszej rodzimej komedii filmowej, gdyż temat ten zasługuje na osobne omówienie. Wspomnę tylko, że ostatnie próby stworzenia polskiej komedii, jak „Sprawa do załatwienia" czy „Przygoda na Marienszatcie" stały się okazją do wielu gorzkich uwag i dyskusji.

Na czym polega najczęściej spotykany błąd komedii filmowej, typowy dla „Wczasów z aniołem?"

Człowiek wesoły jest to najzupełniej normalny człowiek o zdrowym zmyśle humoru. Człowiek komiczny to ktoś, kto budzi bądź irytację, bądź politowanie, bądź jedno i drugie, a w każdym razie budzi sensację. Człowiek komiczny jest wystarczającą okazją do śmiechu. Człowiek wesoły nią nie jest. Błąd realizatorów „Wczasów z aniołem" oraz wielu innych twórców filmowych, kroczących podobnymi śladami, polega na tym, że ograniczają się oni na ogół do pokazywania ludzi wesołych, sytuacje komiczne uzyskując, że tak powiem, okazjonalnie, dorywczo.

Pokazując wesołych ludzi w sytuacjach wcale nie nazbyt komicznych chcieliby owi twórcy, aby widzowie śmiali się z ludzi wesołych tak, jak się śmieją z ludzi komicznych. A jest to, rzecz jasna, życzenie najzupełniej nierealne. Widok gołącego się Marvana z „Wczasów z aniołem" jest komiczny. Widok pracującego przy maszynach Chaplina, także. Ale nie ma nic komicznego w budującym moralnie, obrazku kładzenia podłogi w niewykończonym budynku szkolnym. Nie ma też nic komicznego w scenach zawodowej aktywności bohatera i bohaterki filmu czeskiego „Kobieta dotrzymuje słowa".

Reżyser Kałatozow, twórca „Wiernych przyjaciół", nie popełnił tego błędu. Kazał widzom śmiać się nie z wesołych ludzi, ale z komicznych sytuacji. Kazał swoim wesołym ludziom spędzić urlop na tratwie. Umieścił ich na bezludnej wyspie na środku wielkiej rzeki i zaopatrzył ich jedynie w trzy pary majtek. Nie przestraszył się nierealnej sytuacji. I odważnie nawrócił do dobrych tradycji Aleksandrowa, który za swój „Świat się śmieje" otrzymał w r. 1934 najwyższą nagrodę (złoty puchar) na Międzynarodowym Festiwalu w Wenecji, i do niemniej dobrych tradycji Pyriewa, który pokazał widzom takie filmy jak: „Bogata narzeczona", „Gorą dziewczęta", „Swiniarka i pastuch",

Sytuacje niezwykłe, a nawet ekscentryczne, nie są to zresztą sytuacje uniemożliwiające ukazanie tego co typowe, charakterystyczne dla danego czasu i miejsca. Łatwo się o tym przekonać nie tylko na podstawie filmów Chaplina. Dowodów dostarczają chociażby sytuacje bohaterów włoskiego filmu „Policjanci i złodzieje". Podczas ostatniego Festiwalu w Karlovych Varach pokazano poza konkursem, znaną już szerokim rzeszom widzów, doskonałą komedię włoską „Dzień dobry, słoniu". Mimo, iż cechuje ją wiele elementów pozytywnego komizmu, sytuacja, którą demonstruje, jest niewątpliwie zdecydowanie ekscentryczna: żywy słoń na czwartym piętrze nędznej włoskiej kamienicki. I stwierdzić trzeba, że mimo to nie mniej można się z filmu Zavattiniego dowiedzieć o współczesnych nam Włoszech niż z „Dzisiejszych czasów" o współczesnej Ameryce.

VIII Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Karlowych Varach jest niewątpliwie świadectwem zasadniczej zmiany sytuacji panującej w dziedzinie komedii filmowych. Pokazano ich, jak nam komunikują uczestnicy Festiwalu, znacznie więcej niż na poprzednich Festiwalach. To po pierwsze. Po drugie zwrócono orzeczeniem jury, obradującym pod kierownictwem rektora praskiej Akademii Sztuk Dramatycznych Brousila oraz francuskiego historyka kinematografii Georges Sadoul, specjalną uwagę na komedię filmową. Po trzecie wreszcie, szereg filmów — komedii, wyświetlanych na Festiwalu, wskazuje na to, iż pozytywna komedia filmowa, mimo eksperymentów i błędów, wchodzi wreszcie w okres wzrostu, sięga po laury, którymi X Muza uwieńczyła już dawno Chaplinowską tragedię komiczną.

Nie należy przeciążać komedii mnogością ideowych zadań — pisał w r. 1952 na łamach „Isskustwo Kino" G. Aleksandrow — *gdyż nie wytrzyma ona ciężaru i pójdzie na dno. Niech to będzie jedno, ale jasne zadanie, jeden, ale jasno wytknięty cel.* Uwaga powyższa powinna być przedmiotem rozważań wszystkich tych, którzy na marginesie tegorocznego Grand Prix snują zbyt „monumentalne" plany odnośnie ideowych możliwości komediowego dzieła filmowego.

Komedia, szczególnie komedia filmowa, nie znosi tematycznego wszystkoizmu, a przeładowanie problematyką ideową jest dla pozytywnej komedii filmowej wprost zabójcze. Płaci się za to uszczupleniem i zubożeniem partii filmu, poświęconych zarysowaniem komizmu sytuacji.

Sprawa komedii filmowej ma zresztą jeszcze jeden aspekt, o którym nie wspomniałem dotąd ani razu. To nie jest tylko kwestia ideowych zadań. To nie jest tylko kwestia warsztatu realizatorskiego. To jest także kwestia widza, który domaga się komedii, bo chce po pracy odpocząć, bo chce zapomnieć o swoich codziennych kłopotach i trudnościach, chce się pośmiać. Jerzy Płażewski w swojej korespondencji z Karlovych Varów, umieszczonej na łamach „Przeglądu Kulturalnego" (nr 32 (102), trafnie określa Wielką Nagrodę Festiwalu jako *kierunek na prostego człowieka współczesności.*

Scena z filmu radzieckiego „Wierni przyjaciele"

KILKA SŁÓW

o teatrze

ZESPÓŁ TEATRU POLSKIEGO I KAMERALNEGO WYJEŻDŻA NA GOŚCINNE WYSTĘPY DO ZSRR

W końcu września wyjeżdża na zaproszenie Ministerstwa Kultury ZSRR na gościnne występy do Związku Radzieckiego zespół Państwowego Teatru Polskiego i Kameralnego z Warszawy.

Podczas miesięcznego pobytu w ZSRR Teatr Polski i Kameralny wystawią szereg sztuk klasycznych i współczesnych m. in.: „Męża i żonę" Fredry, „Lalkę" — Prusa, „Cyda" — Cornellia „Wujaszka Wanię" — Czechowa, „Juliusz i Ethel" — Kruczkowskiego „Obcy cień" — Simonowa, „Takie czasy" Jurandota.

Oprócz tych przedstawień zespół da szereg wieczorów artystycznych, na które złożą się urywki arcydzieł klasyków polskich i rosyjskich oraz recytacje wierszy poetów polskich, rosyjskich i radzieckich.

Występy Teatru Polskiego w Moskwie odbędą się na scenie Teatru Małego w Moskwie.

THEATRE NATIONAL POPULAIRE PRZYJEŻDŻA DO POLSKI

W ostatnich miesiącach Warszawa gościła u siebie wielu wybitnych artystów zagranicznych. Stosunkowo niedawno dał kilka przedstawień w stolicy słynny balet radziecki Igora Moisiejewa, w sierpniu odbył tournée po Polsce jeden z najlepszych teatrów moskiewskich, Teatr Mały, na gościnne występy przyjeżdżali w ostatnich miesiącach do Polski węgierscy i czescy artyści cyrkowi.

W październiku zapowiedział swój przyjazd zespół paryskiego „Théâtre National Populaire", pod dyrekcją wybitnego reżysera i aktora, Jean Vilara.

Teatr ten zyskał wielu zwolenników i w tej chwili jest bodajże najbardziej popularnym zespołem we Francji. Jednym z czołowych aktorów tego teatru jest Gerard Philipe, znany polskiej publiczności z filmów „Fanfan Tulipan" i „Pustelnia Parmeńska".

POTĘŻNY ROZWÓJ RUCHU AMATORSKIEGO

Masowy ruch amatorski organizowany przez związki zawodowe stał się potężnym czynnikiem upowszechnienia kultury w Polsce. O rozmachu tego ruchu świadczą konkursy i festiwale dla uczczenia X-lecia Polski Ludowej. Wzięło w nich udział przeszło 5 tysięcy zespołów amatorskich. W dziedzinie muzyki, pieśni i tańca nastąpiło w ostatnich latach podniesienie poziomu artystycznego zespołów, oraz ich znaczny wzrost liczbowy. Pomyślnie rozwijają się zespoły śpiewacze, czego dowodem są sukcesy Reprezentacyjnego Chóru Zw. Zaw. Górników z Siemianowic, oraz fakt, że chór mieszany Woj. Domu Kultury Ogniwo ze Stalinogrodu został upaństwowiony i przejęty przez Filharmonię Śląską. Wielką zasługą regionalnych zespołów pieśni i tańca jest wydobycie z zapomnienia autentycznych motywów pieśni i tańców oraz elementów stroju ludowego, jak również wydobycie klasowej treści twórczości ludowej w tekstach pieśni.

SZEKSPIR W AMERYCE

Jak podaje czasopismo „Time", teatr amerykański ma do zanotowania nowy „wielki sukces", tym razem w dziedzinie „modernizacji" tragedii klasycznych.

Otóż jeden z teatrów nowojorskich wystawił ostatnio „Otella" w nowoczesnym ujęciu, oczywiście w stylu sławetnych comicsów. Na specjalne wyróżnienie zasługują niewątpliwie inowacje w rodzaju tej, iż Desdemona występuje na scenie w zawrotnie nowoczesnych toaletach balowych oraz w rewelacyjnych kostumach kąpielowych. Dramatyczna scena uduszenia Desdemony przez zazdrosnego Otella jest „korzystnie" zastąpiona przez arcyzabawną walkę poduszkami, a melancholijna „Pieśń o wierzbie" przez szlagierową kowbojską piosenkę miłosną, podczas wykonania której Desdemona pobrzękuje bardzo melodyjnie na banjo.

o filmie

„SZATAŃSKI ŻART"

Na ekrany kin angielskich wszedł ostatnio film pt.: „Szatański żart". Film ten różni się od innych filmów brytyjskich tym — że wszystkie bez wyjątku role — grają autentyczni arystokraci, ale to nie jest najważniejsze. Prawdziwy skandal wywołała „ideologia" filmu. Celem części pierwszej z zamierzonej „złotej" serii jest wg słów odtwórczyni głównej roli — lady Mary Tawernan „tak mocne scalenie na wieki więzów krwi między Niemcami i Anglią, ażeby nigdy nie było bratobójczych wojen między naszymi narodami". Taż sama lady Tawernan w jednej ze scen filmu mówi: „Wierzę, że Anglia pożałuje dnia, w którym przeciwstawia się niemieckim planom nowego ładu w Europie i że nadejdzie dzień, gdy my Anglicy będziemy szczęśliwi, mogąc ramię w ramię z Niemcami bronić się przed zagładą"... Angielski dziennik „Daily Mirror", wyrażając opinię ogromnej większości społeczeństwa pisze: „Film ten stanowi obelgę dla całej Wielkiej Brytanii. Z Anglików stroi się żarty, a Niemcy trzęsą się ze śmiechu".

NOWE RADZIECKIE FILMY MŁODZIEŻOWE

W Związku Radzieckim ukazało się kilka interesujących filmów młodzieżowych. Najbardziej godnymi uwagi są: „Ognie na rzece", „Drużyna z naszej ulicy" i „Tajemnicze odkrycie". Filmy te o różnorodnej tematyce, nawiązują do najlepszych tradycji radzieckiego filmu młodzieżowego. Miejmy nadzieję, że obrazy te ujrzymy wkrótce i na naszych ekranach.

KŁOPOTY FILMOWCÓW WŁOSKICH

W pobliżu Neapolu otwarto nowe atelier filmowe założone przez grupę postępowych filmowców włoskich. Niejednokrotnie chyba słyszeliśmy o trudnościach z cenzurą włoską, z którymi muszą walczyć artyści, aby uzyskać pozwolenie na rozpowszechnianie filmów. Najlepsze filmy, takie jak np. „Cud w Mediolanie", czy „Złodzieje rowerów" długo były przetrzymywane przez cenzurę a nawet zdejmowane z ekranów kin włoskich. Nowe atelier filmowe przyjęło dowcipną nazwę „Święty Antoni, ochraniaj nas".

JESZCZE JEDNA KOMEDIA FILMOWA

Po kilku komediach filmowych jak: „Skarb", „Przygoda na Marienstacie", „Sprawa do załatwienia" ujrzymy na naszych ekranach jeszcze jedną: „Irena do domu". W nowym filmie wystąpią najlepsi polscy aktorzy komediowi jak: Lidia Wysocka, Ludwik Sempoliński, Adolf Dymsza.

WSPÓŁPRACA ZAVATTINIEGO Z LATTUADĄ

Współpraca dwóch wybitnych filmowców: scenarzysty Cesare Zavattiniego i reżysera Alberto Lattuady dała już szereg dzieł, wysuwających włoską szkołę filmową na jedno z pierwszych miejsc na świecie. Obecnie dwaj artyści opracowują nowy scenariusz pt. „Policzek". Główną rolę projektują powierzyć popularnemu komikowi włoskiemu Renato Rascel.

„TWÓRCZA WSPÓŁPRACA" AMERYKAŃSKICH FILMOWCÓW

Jak wiadomo, na ekrany zmonopolizowanych kin amerykańskich z rzadka tylko docierają filmy europejskie. A jeszcze rzadziej obrazy o wysokich wartościach ideowo artystycznych. Jeśli jednak nawet uda się któremuś z wybitnych dzieł europejskiej kinematografii przejść przez sito cenzury, czeka je „twórcze opracowanie" filmowców hollywoodzkich. Przydarzyło się to ostatnio świetnemu filmowi prod. francuskiej pt. „Pamiętnik wiejskiego proboszcza" (wg G. Bernanosa). Film ten został skrócony o pół godziny w celu „zwiększenia tempa" i „usunięcia zbędnych scen". Protest francuskiego reżysera nie odniósł żadnego skutku.

o plastyce

POSTĘPOWI PLASTYCY BRAZYLIJSCY

W Brazylii istnieje liczna grupa postępowych plastyków. Prace ich w sposób żywy i wyrazisty mówią o życiu i pracy narodu brazylijskiego, o jego walce o pokój i niezależność. Plastycy ci za przykładem swych kolegów meksykańskich — zrzeszają się w kluby — aby tym skuteczniej walczyć z importowaną z USA sztuką formalistyczną, aby rozwijać własną realistyczną twórczość. Kluby takie powstały w Porto Allegro i w Rio de Janeiro, należą do nich najwybitniejsi malarze i graficy brazylijscy, jak: Renina Katz, Danubio Gonsalwes, Carlos Sciar, Vasco Prado i inni.

POCZĄTKI SZTUKI FRANCUSKIEJ

Dużym wydarzeniem paryskiego sezonu stała się otwarta niedawno w Bibliotece Narodowej w Galerie Mansart, wystawa francuskich manuskryptów iluminowanych pochodzących z okresu od VII do XII wieku. Zgromadziła ona 340 bogato zdobionych foliałów, a także pewną ilość kopii malarstwa ściennego z tej samej epoki, wypożyczonych z Muzeum. Budownictwa Francuskiego. Zbiory te pozwalają na dokonanie ciekawych porównań między sztuką iluminatorską a freskiem. Jednym z najstarszych i najciekawszych zabytków pokazanych na wystawie jest manuskrypt „Quaestiones in Heptateuchon" świętego Augustyna, którego strona tytułowa jest pięknie i bogato iluminowana, a także Ewangelie pochodzące z epoki przed panowaniem Karolingów.

o literaturze

OKOLICZNOŚCI ŚMIERCI E. ZOLI

W Paryżu ukazała się niedawno powieść Armanda Lanoux „Dzień dobry, panie Zola" — zawierająca ciekawe dane o okolicznościach śmierci E. Zoli. Lanoux twierdzi na podstawie zebranych dokumentów — że zgon wielkiego pisarza nie był przypadkowy lecz spowodowany umyślnie przez jego wrogów (prawdopodobnie przez francuską policję). Dziennik „Le Monde" recenzując powieść, przeprowadził jednocześnie wywiad z synem pisarza — Jaquesem Zolą. Wywiad ten potwierdził przypuszczenie A. Lanoux zawarte w jego książce. J. Zola ujawnił nieznane dotąd fragmenty anonimowych listów kierowanych do Emila Zoli grożących mu śmiercią. Tak więc wyjaśnia się tajemnica niespodziewanego zgonu pisarza: zemsta za jego odważne stanowisko wobec afery Dreyfusa.

LITERATURA POLSKA W ZWIĄZKU RADZIECKIM

Wydawnictwo Literatury Obcej w Moskwie planuje wydanie w bieżącym roku szeregu książek autorów polskich.

W opracowaniu znajdują się: „Czerwona rzeka" Żuławskiego, „Pamiątka z Celulozy" Newerlego, „Obywatele Brandysa, „Węgiel" Scibora Rylskiego i inne. Ukaże się również antologia współczesnej poezji polskiej, obejmująca utwory Tuwima, Broniewskiego, Iwaszkiewicza i Staffa. Drugi tom antologii, który wyjdzie w roku przyszłym zawierać będzie wiersze: Ważyka, Putramenta, Woroszylskiego i Jastruna. Jeszcze w roku bieżącym ukaże się tom utworów wybranych L. Kruczkowskiego, na który złożą się „Kordian i Cham", „Pawie pióra" „Odwety" i „Niemcy". W opracowaniu znajduje się wybór opowiadań współczesnych polskich pisarzy.